POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 20-go czerwca 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 25**

Możliwość okrążenia Niemiec

BALON NA UWIĘZI

Z punktu widzenia strategicznego, dzisiejsze położenie Niemiec i Włoch możemy porównać do balonu na uwięzi, napełnionego gazem łatwopalnym. Podpaliwszy powłokę balonu można spowodować wybuch i zupełną jego zagładę. A cóż dopiero się stanie, gdy wywołamy niszczące działanie ognia nie tylko od zewnątrz, lecz również—i to jednocześnie—od wewnątrz balonu?

Dotąd Niemcy i Włochy stale, po kolei, osaczały a następnie zawojowywały jakieś państwa. Dziś sami z wielką obawą oczekują ataku. A co będzie, gdy atak ten przyjdzie nagle, nie tylko od zewnątrz w postaci ofensywy generalnej wojsk koalicyjnych na lądzie Europy, wspartej kontrofensywą Rosji, lecz jednocześnie od wewnątrz w formie powstań wszystkich narodów bezprawnie okupowanych lub zaanektowanych państw? Możemy być pewni, że ani najlepsza organizacja, ani też żadne siły zbrojne, morskie lub powietrzne, nie wytrzymają tego koncentrycznego ataku. Powłoka frontów wnet trzaśnie, gdy jednocześnie wewnętrzne pożary towarzyszyć będą temu szturmowi generalnemu.

Tak jak balon od wybuchu, rozpadnie się wówczas pseudopotęga Niemiec i Włoch od siły i wszechstronności tego ataku, dając koalicji szybkie i pełne zwycięstwo.

GŁÓWNE PRZYCZYNY DOTYCHCZASOWYCH ZWYCIĘSTW NIEMIECKICH

Pamiętamy doskonale nawoływanie dzisiejszego dyktatora Niemiec w prasie całej Europy: "Niemcy są stale okrążane przez swoich przeciwników". W odwet za tę rzekomą groźbę i dla jej uchylenia następowały kolejne uderzenia na zagłębie Ruhry, a następnie Czechosłowację, Polskę i t.d. aż zawojowano całą niemal Europę. Dziś toczy się krwawa walka na wschodzie, od której wyniku będzie zależeć bardzo wiele.

Lecz we wszystkich tych dotychczasowych walkach Hitlera, powtarza się ten sam moment natury podstawowej: Niemcy walczą wyłącznie na jednym froncie przeciwko jednemu obranemu przez siebie przeciwnikowi. Wbrew twierdzeniu Hitlera, nikt dotąd nie okrążał Niemiec. Wręcz przeciwnie kierowały one dotychczas zawsze tak po mistrzowsku swoją polityką, a następnie rozmachem miecza, iż stale napadały tylko na jednego przeciwnika, który bywał wkrótce sromotnie pobity.

Swoje wojskowe powodzenia zawdzięczał więc Hitler przede wszystkim tej okoliczności, iż uderzał stale całą siłą, każdorazowo tylko na jednego przeciwnika. Poza tym zaś przyczyny jego zwycięstw znane już na ogół były następujące:

1) Doskonałe przygotowanie propagandowe wśród ludności terenu napaści. Mam tu na myśli tak przygotowania prasowe i radiowe zamierzonej przez siebie kampanii, jak również następnie przeprowadzane wszelkie działanie na tyłach wojsk walczących z nieprzyjacielem, za pomocą sławnej już t.zw. "piątej kolumny."

2) Potężne działanie lotnictwa i to nie tylko przeciwko oddziałom i obiektom wojskowym, lecz również przeciwko miejscowościom bez znaczenia wojskowego i bezbronnej ludności cywilnej.

3) Silna akcja broni pancernej, uderzająca jakby młotem w opór nieprzyjaciela, by następnie posuwać się wężowym ruchem wzdłuż jego komunikacyj. Działania te były podobne obcęgom wdzierającym się w żywy organizm kraju. Okrążając i omijając jego ośrodki oporu, dezorganizowały zupełnie wszelkie dowodzenie i planowanie.

4) Po takim przygotowaniu wkraczały wielkie jednostki piechoty i jej oddziały zmotoryzowane, które zajmując teren przeprowadzały ostateczną likwidację wszelkiego oporu wojska narodu zawojowywanego.

Główną przyczyną udawania się tych ciągle powtarzających się chwytów niemieckich, upatruję w tym, iż nie natrafili dotąd na przeciwnika należycie przygotowanego pod względem technicznym i co do sposobów działań. Tak przynajmniej było aż do chwili zaangażowania się w walkę przeciwko Rosji. Tu nareszcie stanął przeciwnik wyposażony w broń nowoczesną i to w ilości takiej, która mogła przeciwstawić się odnośnym środkom Niemiec. Był to również przeciwnik, który potrafił zorganizować teren i opór przeciwko zbyt szybkim i łatwym ruchom osławionej niemieckiej broni pancernej. Wszystkie czynniki razem wzięte postawiły pod znakiem zapytania szybkie osiągnięcie zwycięstwa—czyli przekreśliły niemieckie nadzieje wygrania "blitzkriegu" również przeciwko Rosji.

BRAKI NIEMCÓW W DOTYCHCZASOWYCH WALKACH

Walki toczące się na wschodzie zdemaskowały prawdziwe wartości, a więc i braki armii niemieckiej. Walki te wykazały bowiem, iż poza doskonałym technicznym wyposażeniem posiada armia ta wielkie niedociągnięcia w wyszkoleniu rezerw, a zwłaszcza królowej pola walki—piechoty. Brak ten wynika stąd, iż dzisiejsza armia niemiecka utworzona została w tempie zawrotnym, w przeciągu zaledwie kilku lat (zasadniczo w latach 1934-39), pod wodzostwem Hitlera. Ten brak należycie i systematycznie wyszkolonych kadr i rezerw nie ujawnił się w poprzednim tak szybkim zwycięskim pochodzie wojsk Hitlera przez Europę.

Naturalnie, naczelne dowództwo niemieckie dokłada oddawna wszelkich starań dla usunięcia tych podstawowych niedoborów w przygotowaniu głównych sił do walki. Lecz w miarę jak udaje się zaspokoić potrzeby pod tym względem w jako tako zadawalający sposób,—powstają nowe wzmożone potrzeby. Żołnierze, z takim trudem wyszkalani lub doszkalani giną na froncie lub bywają ranni, trzeba ich na gwałt zastępować mniej przygotowanym elementem.

Twardy i zacięty opór, który spotyka Niemców ze strony Rosji wzmaga te potrzeby i narzuca coraz to nowe wysiłki dla uzupełnienia stale powiększających się luk w potężnie nadkruszanych szeregach niemieckich. To też jesteśmy świadkami ogałacania krajów zajętych przez Niemcy z oddziałów pierwszej linii, tam załogujących.

Dotychczasowe siły okupacyjne zastępuje się oddziałami o drugorzędnej wartości, przeważnie składającymi się z żołnierzy starszych roczników lub też nie zostawia się w miejsce zabranych jednostek zgoła nikogo, licząc widocznie na dalsze trwanie dotychczasowej bierności zawojowanych krajów.

Bezwzględność z jaką Niemcy dążą do uzyskania niezbędnych odwodów, wymaganych dla zamierzonego przyśpieszenia rozstrzygnięcia na wschodzie, zawiera w sobie ogromnie ryzyko. Podobnie jak we wrześniu 1939 r. rzucili Niemcy na Polskę prawie wszystkie swoje siły, pozostawiwszy na zachodnim froncie śmiesznie nikłe, dosłownie "obserwacyjne załogi bezpieczeństwa,"—tak i obecnie powtarza się ta sytuacja, iż wszystko skierowali na wschód, ogołociwszy kierunek zachodni prawie zupełnie z dobrych wojsk i środków.

WYKORZYSTANIE SŁABYCH STRON OBECNEGO UGRUPOWANIA SIŁ NIEMIECKICH

Moment opisany jest jak dotąd wykorzystywany przez aliantów jedynie dla wzmożonej walki na morzach przeciwko jednostkom morskim Osi, jak również przez intensywną akcję lotnictwa na ośrodki przemysłu wojennego Niemiec. Natomiast nie widzimy dotąd wykorzystania tej słabości Niemiec przez działania na lądzie Europy.

Uważamy takie działanie obecnie nie tylko za możliwe, lecz za wysoce potrzebne i na czasie, gdyż godzące w tyły armii niemieckiej, walczącej daleko na wschodzie. Siły lądowe potrzebne dla takiego działania i zadania nie musiałyby być liczne, gdyż miałyby zapewnioną pomoc wielu narodów powstających przeciwko dotychczasowym okupantom i tyranom.

Wyobraźmy sobie taki obraz. Wszystkie siły zbędne dla obrony Wysp Brytyjskich, lądują jednocześnie w kilku miejscach wybrzeża Francji, Belgii lub Holandii. Ewentualnie dzieje się to równocześnie od południa, gdzie lądują we Włoszech wszystkie siły angielskie, zbędne przy obecnej obronie Afryki północnej. Równocześnie z tymi desantami wojsk sprzymierzonych na lądzie Europy, powstają narody podbite raptownie oraz wszystkie naraz przeciwko okupantom.

Pomyślmy tylko, jakie byłoby samopoczucie generalnego gubernatora Niemiec i jego sztabu urzędniczego w Polsce, gdyby dowiedział się, że wojska koalicyjne wylądowały w Europie,—a jednocześnie posiadałby alarmujące wiadomości, iż cała Polska powstała przeciwko jego uzurpatorskiej władzy. A jak groźnie i beznadziejnie przedstawiałoby się podobne położenie wszystkich uzurpatorów państw osi w Europie, gdyby jednocześnie wszystkie ich włodarstwa były zaatakowane przez powstańców? W rezultacie tych walk milionowych narodów przeciwko zaledwie kilkuset tysięcznym armiom okupacyjnym, nastąpiłby bardzo rychły zupełny ich pogrom. Interwencja odwodów wojsk niemieckich z dalekiej Rosji, nawet przy pomocy jednostek pancernych, nie zdążyłaby na czas. Jedyna reakcja od zewnątrz, która byłaby mażliwa w czasie, to skoncentrowanie lotnictwa, lecz za liczne byłyby cele tych interwencyj, by ono mogło dać skutek pożądany.

KIEDY MÓGŁBY BYĆ URZECZYWISTNIONY TEN PLAN

Uważam, że moment ten jest bardzo bliski. Tak desanty wojsk koalicyjnych, jak i powszechne powstania narodów podbitych powinny nastąpić gdy wojska niemieckie znowu poważnie zaangażują się w Rosji. To ogólne uderzenie powinno nastąpić obecnie, lub stanowczo przed nową kampanią zimową, kiedy warunki atmosferyczne podyktują znów zastój większych działań na wschodzie, co ułatwi Niemcom szybkie odtworzenie odwodów i przesunięcie ich ze względów asekuracyjnych z Rosji na zachód i to zarówno do Niemiec, jak i do krajów okupowanych.

W myśl znanej maksymy: że "kto prędko daje, ten dwa razy daje"—uważam, że pośpiech w likwidacji rabunkowych rządów okupantów w Europie za wysoce wskazany, gdyż jedynie szybkie zwycięstwo odniesione nad państwami Osi, może uratować resztki Europy, mocno nadwątlonej gospodarowaniem tyranów od zupełnej zagłady. Zapóźno odniesione zwycięstwo nie dałoby natomiast możności dźwigniecia podbitych narodów do warunków minimum egzystencji na przeciąg co najmniej stulecia.

NARESZCIE PRAWDZIWE OKRĄŻENIE NIEMIEC

Plan przeprowadzony przez połączenie desantów wojsk koalicyjnych z ogólnym powstaniem stu kilkudziesięciu milionów ludzi przeciwko terrorowi niespotykanemu dotąd w historii spowoduje nareszcie prawdziwe, tak upragnione przez cały świat okrążenie Niemiec i Włoch. Błąd przedwojennych rządów Europy, ślepych na zbrojenia dwu agresorów, zostałby w ten sposób naprawiony obecnym wspólnym wysiłkiem wszystkich.

Oby nie trzeba było nam długo czekać na przeprowadzenie tego pełnego okrążenia Niemiec, które da nam szybko upragnione zwycięstwo.

FRYDERYK MALLY

MORALNA PUŚCIZNA

21 czerwca 1940 roku po dwutygodniowych zażartych walkach na polach Lotaryngii, I-sza Dywizja Grenadierów zakończyła swój chwalebny żywot, zostawiając na pobojowiskach przeszło 1.000 zabitych i ponad 4.000 rannych.

Historyk obecnej wojny, komentując kiedyś w przyszłości jej poszczególne fazy, nazwie może dzieje I-szej Polskiej Dywizji we Francji na tle całej wojny polskiej tylko "francuskim epizodem." W porównaniu do kampanii wrześniowej lub do całości olbrzymiego konfliktu, jaki objął świat, walki I-szej Dywizji mogą pozornie wydawać się jednym z bardziej chwalebnych, bardziej pięknych epizodów, i niczym nadto.

To jednak nie jest tylko epizod. To jest coś więcej.

Garstka żołnierzy I-szej Dywizji, która zdołała się przedrzeć do Anglii, strzepując z butów żołnierskich proch ziemi francuskiej zachowała wspomnienia tak drogie każdemu żołnierzowi i wspomnienia te ze wzruszeniem rozpatruje. We wspomnieniach tych poza żołnierskim przeżyciem jest pewien patos, jest jakiś powiew historii. Ten powiew historii wyczuwaliśmy dobrze w tragicznych dniach 18 czerwca pod Lagarde czy 21 czerwca w St. Dié.

I-sza Dywizja Grenadierów nie była bowiem zwykłą dywizją. Była oddziałem honorowym polskiej emigracji we Francji. Zanim jeszcze powstała mówiono o niej w polskich ośrodkach robotniczych we Francji. W momencie gdy waliła się burza niemieckiej pancernej potęgi na Polske, gdy zdawało się, że na ziemi polskiej z ręki żołnierza wypada karabin, Polacy we Francji mówili, że teraz na nich kolej, że oni podejmą dalszy wysiłek. Mówiono, że musi powstać jak najprędzej wojsko polskie, które podejmie dalszą walkę na froncie zachodnim. Tam bowiem gdzie są Polacy, tam będzie toczyć się walka.

I-sza Dywizja Grenadierów wyruszyła na front w Lotaryngii, by dać świadectwo tej prawdzie.

Biła się tak samo dzielnie jak biły się wszystkie inne oddziały polskie, tak jak to jest zresztą w zwyczaju żołnierza polskiego. Biła się w tragicznych okolicznościach, ciągle w obronie, bez pióropuszą sławy, w momencie, gdy walił się gmach Francji — osamotniona, zagubiona, odcięta. I okazało się w tych tragicznych momentach, że żołnierz nawet słabo przeszkolony, słabo uzbrojony, o którego obawiano się, że w wędrówkach po świecie, w wędrówkach po chleb, zatracił dziedziczne tradycyjne wartości—odnalazł w sobie całą fantazję całą bitność właściwą rasie polskiej.

W tej wielkiej dwutygodniowej tragicznej improwizacji, ofiarnością i dyscypliną dorównał starym, wypróbowanym wojakom. Dowódca Dywizji potrafił ze swej strony zdobyć się na decyzję samodzielną, decyzję dziś historyczną. Decyzja ta—wówczas refleks polskiej tradycji wojennej, refleks honoru wojskowego, dziś nawet z perspektywy dwuch lat okazuje jakże głęboki sens polityczny.

I-sza Dywizja Grenadierów, wypełniając do końca swój obowiązek żołnierski, jaki włożyło na nią współdziałanie z armią francuską, nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności za dezorganizację odcinka frontu francuskiego, na którym się biła. Mogła się ocalić 18 czerwca, przebijając się na południe. Pozostała jednak na stanowisku, wymęczona, skrwawiona, bijąc się ostatkiem sił, by nikt nie mógł powiedzieć, że Polacy nie spełnili swego obowiązku żołnierskiego, że porzucili odcinek frontu im powierzony, że odpłacili niewdzięcznością za gościnę z jakiej przez wiele lat korzystali.

I-sza Dywizja Grenadierów spłaciła dług, płacąc krwią.

Zachowaniem swym wykazała ponadto, że żołnierz polski gdziekolwiek jest, w jakichkolwiek znajduje się warunkach, zachowuje te same cechy żołnierskie, wykazała, że Polska jest jedna, że jednakie są tęsknoty Polaków, gdziekolwiek walczą, bez względu na to, skąd pochodzą i kim są. W I-szej Dywizji dokonało się znakomite zżycie tak różnolitych elementów—żołnierzy w przeważnej części emigrantów z Francji z żołnierzami, którzy przezwyciężając niezliczone trudności zdołali do nich dołączyć, górników, robotników i rolników z inteligentami z Paryża czy Warszawy.

Dzieje I-szej Dywizji wykazały nakoniec, że honor żołnierski jest najlepszym przewodnikiem politycznym.

W tę drugą rocznicę walk I-szej Dywizji składamy hołd nie tylko pamięci tych, którzy zostali na pobojowiskach we Francji lub w "Oflagach," "Stalagach" i Mirandzie czekają z utęsknieniem na chwilę wybawienia lub rozproszeni po świecie na sygnał ponownej walki, lecz także składamy hołd tej moralnej puściźnie, która daje nam wszystkim poczucie dumy.

MARIAN PIOTROWSKI

W drugą rocznicę zakończenia walk byłej I Dywizji Grenadierów w dniu 21.VI.1942 r. o godz. 11.00 w Cupar—Fife zostanie odprawiona msza święta za poległych żołnierzy tej Dywizji. Zbiórka przed dworcem kolejowym w Cupar—Fife o godzinie 10.45.

Udział w mszy świętej należy zgłosić pisemnie do dnia 19.VI.1942 pod adresem: N. Kowarski, Ratheluan House, Cupar—Fife.

Za drutami obozów (II)

Jeńcy polscy*

Jeńcy polscy, zachowali postawę żołnierską. Nie opuścili się ani zewnętrznie, ani wewnętrznie. Ci co siedzą jeszcze za kratami obozów to element już wypróbowany. Wszelkiego rodzaju renegaci: "Volksdeutsche," "Ukraińcy," czy "Białorusini," którzy mieli odpłynąć — odpłynęli. Zostali ci, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do swego oblicza narodowego, którzy są Polakami, chcą być Polakami i gotowi są za to swoje przywiązanie do polskości przepędzić jeszcze kilka lat życia za drutami obozów.

Nie miałem możliwości zetknięcia się z oficerami polskimi z Kampanii Wrześniowej. W "Oflagu," do którego nas przywieziono z Francji, oficerów z Kampanii Wrześniowej już nie zastałem, jakkolwiek pozostały po nich ślady. W kancelarii obozu wisiał wielki plakat, przedstawiający okrwawionego żołnierza polskiego na tle palących się domów Warszawy, z polskim napisem: "Anglio oto Twe dzieło." Był to ślad propagandy niemieckiej w stosunku do jeńców polskich. Poza tym przy kuchniach i magazynach naszego obozu pozostało tylko kilku żołnierzy z Kampanii Wrześniowej, którzy poinformowali nas, że oficerowie przed przyjazdem Francuzów zostali wywiezieni do innego obozu. W obozie naszym powstały nawet plotki, że w tych samych barakach, w których mieliśmy zamieszkać, zmarło zeszłej zimy na skutek złych warunków higienicznych i mrozu, kilkuset polskich oficerów.

"Oflag" nasz był wybitnie międzynarodowy. Składał się z Francuzów, Belgów, kilku Anglików i Polaków, wziętych do niewoli we Francji. Polacy byli traktowani pod względem prawnym na równi z innymi. Zaznaczam—pod względem prawnym—gdyż każdy z nas, jak również i nasi towarzysze doli innych narodowości, zdawali sobie sprawę, że jesteśmy bardziej, niż inni narażeni na sztych nienawiści i brutalności niemieckiej.

Dał to nam odczuć dobitnie komendant naszego bloku. Od razu pierwszego dnia, gdy zobaczył naszą grupkę, oświadczył, że jest niezmiernie szczęśliwy a z nim cała Rzesza niemiecka cieszy się, że Polacy z Francji znaleźli się także za drutami obozów. Postara się nam "uprzyjemnić" życie i odpłacić się za zbrodnie /!/ polskie. Zaraz też zaczęły się szykany.

Pierwszym występem naszego oprawcy była sprawa rotmistrza X. Szyldwach niemiecki zobaczył przypadkiem u rotmistrza X małe obcążki, które ten ostatni pożyczył sobie od kolegi, by urządzić jakoś kąt w baraku, to znaczy wbić kilka gwoździ w ramę pryczy dla powieszenia płaszcza i chlebaka. Nasz niemiecki komendant "Pyskaczem" zwany, robi z tego wielką awanturę. Zwołuje zbiórkę, wywołuje rotmistrza przed front i oświadcza mu, że został przyłapany na gorącym uczynku przygotowywania ucieczki. Że niewątpliwie obcążkami tymi chciał się posłużyć do przecinania drutów. Wywijając mu obcążkami przed nosem, wyraźnie chce mu zmiażdżyć nos. Przypadkiem nadchodzi dowódca całego obozu, stary pułkownik niemiecki i scena ta w widoczny sposób wywołuje w nim niesmak. Odwołuje "Pyskacza" i każe nas rozpuścić do baraków.

"Pyskacz" szukał jednakże stale okazji, by znęcać się nad grupą polską. Ponieważ zachowanie nasze było bez zarzutu, przyczepiał się istotnie do drobiazgów. Tak doszło do słynnej w całym baraku afery z "krzesłem".

Wynalazł on, iż w naszym baraku zepsuto krzesło. W rzeczywistości to połamane krzesło zostało nam podrzucone z sąsiedniego baraku. Drobne to wydarzenie posłużyło mu jednak za pretekst do poniżenia nas. Jednego z dni jesiennych, na porannym apelu, w pośrodku czworoboku złożonego z przeszło 2 tysięcy oficerów francuskich, wśród których na uboczu stała nasza mała grupka, zauważyliśmy jakąś niezwykłę inscenizację. Dwuch podoficerów taszczy połamane krzesło. "Pyskacz" staje przy nim i rozpoczyna przemówienie:

—Oto—wrzeszczy swym chrapliwym głosem—dowód polskiego barbarzyństwa. Tak Polacy obchodzą się ze sprzętem, jakiego im użyczyliśmy w naszej dobroci, by mogli żyć w lepszych warunkach. Nikt inny, żadna z narodowości, będących w tym obozie, nie mogłaby się zdobyć na to, by niszczyć przedmioty codziennego użytku. To połamane krzesło jest symbolem barbarzyństwa polskiego!

To nagłe wystąpienie wprowadziło Francuzów w osłupienie. Nas ono bynajmniej nie zdziwiło. Zaciskając pięści wysłuchaliśmy przemówienia. Byliśmy zdecydowani reagować. Dowódca naszej grupy postanowił wystąpić z zażaleniem na drodze służbowej. Wystylizowaliśmy protest na ręce komendanta obozu przeciwko obrażaniu naszej godności narodowej. "Pyskacz" protest ten przyjął, jednakże nie po to, by przesłać go komendantowi obozu, lecz by go wykorzystać do nowych szykan w stosunku do polskiej grupy.

Na porannym apelu wygłasza znów przemówienie. Maniera ta została mu widocznie z czasów działalności partyjnej.

—Grupa polska — oświadcza "Pyskacz" wśród powszechnej ciszy, cały bowiem obóz interesuje się już aferą krzesła—niesłusznie obraziła się na mnie za moje wczorajsze wystąpienie. Polacy wystąpili z zażaleniem, że obraziłem naród polski. Zażalenia tego nie mogę przesłać dalej, jest ono bowiem nieformalne i nieprawne. Naród polski bowiem nie istnieje.

O ile pierwsze wystąpienie oburzyło wszystkich swą dzikością i brutalnością, o tyle to oburzyło zebranych Francuzów swym cynizmem. Z kilku tysięcy piersi zerwały się okrzyki: "hu, hu."

W takiej atmosferze moralnych przykrości przechodziły nam dni w "Oflagu." Dowódca naszej grupy, oficer najstarszy wiekiem, narażał się codziennie w obronie naszych praw i naszych godności na znoszenie wymysłów i szykan ze strony dowództwa niemieckiego, nieugięcie jednak wypełniał swój ciężki obowiązek, jaki mu przypadł z wieku i szarży. Grupa polska wkrótce zdobyła sobie w obozie wyjątkową pozycję, służąc przykładem dyscypliny, karności i godności. Najbardziej narażeni na sztych prześladowań niemieckich Polacy nie załamali się ani razu ni fizycznie, ni moralnie. Nieraz grupa ta, będąca zresztą pod specjalnym dozorem politycznym, czy wracając z jakiejś rewizji dodatkowej czy też po jakichś specjalnych przejściach z administracją niemiecką, była przedmiotem zbiorowej owacji kilku tysięcy jeńców francuskich, belgijskich i angielskich.

Tu muszę zaznaczyć już z góry, że jak w "Oflagu" grupa polskich oficerów i podchorążych wyróżniała się swą postawą, tak też i w obozach żołnierskich, do których się potem dostałem, oddziały polskie odbijały również czystością, karnością i zaradnością. W obu obozach, przez które przeszedłem, i w "Oflagu" i w "Stalagu," baraki polskie były uznane przez samych Niemców za wzorowe pod względem porządku.

W czasie jednej z rewizyj w naszym baraku w "Oflagu," jednemu z oficerów niemieckich wyrwało się takie znamienne oświadczenie:

—Jakie to dziwne, że przysłowia narodów czasami kłamią. W Niemczech mówi się tak dużo o "Polnische Wirtschaft," tymczasem znam już szereg obozów jenieckich i przekonałem się, że zawsze największy porządek panuje w baraku polskim.

W przeddzień 11 listopada, rocznicy wypędzenia Niemców z Polski w 1918 roku, dowództwo obozu z góry dało do zrozumienia Polakom jak i Francuzom, że wszelkie manifestacje będą surowo karane. Odwołane zostało nawet tego dnia oficjalne nabożeństwo, by odjąć wszelką okazję do manifestacji. Grupa polska—było to w "Oflagu"—i tak obeszła ten rozkaz.

Zwróciliśmy się do księży francuskich, czy nie zgodziliby się odprawić nabożeństwa o godz. 5-ej rano nie w baraku przeznaczonym na kaplicę, lecz w małych składzikach, mieszczących się przy każdym baraku mieszkalnym. Ponieważ do składziku mogło wejść tylko kilku ludzi musieliśmy się podzielić na małe grupki po 8-u czy 10-u i poprosić kilku księży francuskich o odprawienie nabożeństwa.

Plan został wykonany zgodnie z opracowanym projektem. Rano o godz. 4.30 w polskiej części baraku, mieszkaliśmy bowiem razem z Francuzami, powstał ruch, niezwykły jak na tę porę. Zapalono światło, co można było uczynić swobodnie, gdyż ze względu na black-out okiennice były szczelnie zamykane. Polacy zerwali się z pryczy i poczęli się ubierać. Koledzy francuscy z drugiego końca baraku ze zdziwieniem przypatrywali się tym wczesnym przygotowaniom polskim. Polacy poczęli kolejno wymykać się z baraku w ciemną noc.

Pamiętam — było zupełnie ciemno. Z trudem odnaleźliśmy składzik na drugim końcu obozu, w którym czekał na nas ksiądz francuski. Klitka była tak mała, że 10-u ludzi ledwie się w niej mieściło. Ksiądz odprawiał mszę przy małym drewnianym stoliku.

Patrzyłem na kolegów. Był wśród nich starszy już wiekiem oficer zawodowy, dalej młody uczony, kilku młodych, prawie że chłopców o postawie i ruchach skautów. Ksiądz Francuz był saperem.

Na twarzach widać było skupienie, jakie daje świadomość wypełnionego obowiązku—tam gdzie są Polacy, tam wypełniane są narodowe tradycje.

Wróciliśmy do baraków jeszcze przed 6-tą rano, przed pobudką. Koledzy francuscy domyślili się, że wracamy z zakazanej manifestacji, bo jakże inaczej wytłumaczyć sobie można wymykanie się z baraku w ciemną wilgotną noc listopadową, w porze zupełnie nieodpowiedniej na spacery.

Od tego dnia stosunki nasze z francuskimi kolegami polepszyły się jeszcze bardziej. Francuzi poczęli się odnosić do Polaków z dużym szacunkiem. Lody zostały przełamane.

MARIAN PIOTROWSKI

* Por. pierwszy artykuł cyklu: "Oflagi i Stalagi," druk w nr. 24 "Polski Walczącej" z b.r.

Szkic sytuacyjny

KLĘSKA JAPONII NA OCEANIE SPOKOJNYM

Amerykanie ogłosili stosunkowo późno dane odnoszące się do starcia morskiego u wysp Midway. Sprawdzenie strat przeciwnika i własnych nie jest łatwym zadaniem przy bitwach morskich, tym bardziej, jeżeli czynnikiem rozstrzygającym w tej bitwie były—*samoloty*. Komunikat ogłoszony przez Waszyngton dnia 12-go czerwca pozwala na wypowiedzenie pewnych sądów na temat położenia na Oceanie Spokojnym oraz co do *przyszłości marynarek wojennych.*

Jest rzeczą jasną, że Japończycy ponieśli *nielada klęskę.* Ich największy i najbardziej nowoczesny lotniskowiec powędrował na dno wraz z czterema innymi okrętami tego typu: okazało się, że lotniskowce są jednak w wojnie obecnej dosyć wątpliwym nabytkiem. Stanowią one cel tak wielki, że *wrażliwość ich na atak jest nadmierna.* Konstruktorzy lotniskowców przeżywają napewno smętne chwile: cały pomysł ich stoi pod znakiem zapytania. Albo lotniskowce będą posiadały mniejszy tonnaż i będą zabierały o wiele mniejszą ilość samolotów na pokład, albo też okręty wojenne będą brały maszyny na pokład w większej ilości. Lotniskowce takie jakie weszły do bitwy u wysp Midway, zarówno po jednej jak drugiej stronie, okazały się zbyt "*wrażliwe*" na torpedy i bomby z powietrza.

Japończycy wierzyli w zalety lotniskowców. *Oddały im też one niebywałe usługi w podstępnym ataku na Pearl Harbour.* Ale u wysp Midway, gdzie *Amerykanie nie byli zaskoczeni* i gdzie posiadali sami duże ilości samolotów, lotniskowce zawiodły. Podobnie zresztą jak wszędzie tam gdzie broń nowoczesna zwalczana jest bronią nowoczesną: wynik walki czołgów przeciwko czołgom albo przeciwko działkom p-panc jest również inny, aniżeli wtedy, gdy *atakują one bezkarnie* "tradycyjne" zgrupowania piechoty albo gdy przeciwstawia się im kawalerię. Okazuje się, że *zaskoczenie oraz użycie broni nowocześniejszej i skuteczniejszej, aniżeli ta jaką posiada przeciwnik, jest niemal zawsze czynnikiem zwycięstwa w wojnie nowoczesnej.*

Marynarka japońska poniosła poważne straty. Klęska u wysp Midway odbije się na stanie tej marynarki i na jej zdolności do działania. Ameryka uderza rozważnie, wybiera starannie miejsca "spotkania," ale gdy już uderza, robi to dobrze.

Bitwa morska u wysp Midway była, jak to słusznie zaznaczyła prasa brytyjska, "*najosobliwszą bitwą morską w dziejach.*" Wszystkie bowiem jednostki morskie poszły na dno nie na skutek ognia dział okrętów wojennych, jak to bywało stale we wszystkich bitwach morskich doby nowoczesnej, ale na skutek torped powietrznych oraz bomb samolotowych. Tym samym raz jeszcze *samodzielność marynarki stanęła pod znakiem zapytania.* Ci, którzy wierzyli ślepo w tę autonomiczność—a było ich sporo w Anglii, a nawet dalej jeszcze jest ich zbyt wielu—muszą zdobyć się na zmianę swojego poglądu.

Marynarki wojenne nie są już tym czym były. Nie mogą się już one poruszać *bez osłony samolotów*, nie mogą już walczyć bez pomocy maszyn lotniczych. Jednostki wojenne są dzisiaj przede wszystkim bronią niejako pomocniczą: przy osłonie konwojów, przy osłonie lądowania, przy bombardowaniu brzegu /przy współdziałaniu z lotnictwem/. Zadania jakie mają dzisiaj do spełnienia marynarki wojenne są bardzo ograniczone. Czasy przewag marynarki wojennej *minęły.*

ZMIENNE KOLEJE W LIBII

W Libii wre walka na całego. Opowiadano nam, że w czerwcu żadna siła nie zmusi człowieka do wejścia do rozpalonego pieca czołgu i że dlatego w czerwcu nie ma mowy o jakichkolwiek walkach. Przepowiednie te pobite zostały dokładnie: raz jeszcze okazało się, że *dla wojny nie ma właściwie przeszkód klimatycznych* i że zwierzę ludzkie jest daleko bardziej wytrzymałe, aniżeli to przypuszczają teoretycy.

Walki w Libii są zmienne, kapryśne, niedające się ułożyć w jakiś plan. Wynikało by z ostatnich doniesień, że po opuszczeniu przez bohaterski garnizon francuski Bir Hakeimu, Rommel chce rzucić swoje siły ku Tobrukowi. Stary szlak nadmorski nęci go najwidoczniej (być może, że chodzi mu o dostawy, które łatwiej otrzymać od strony morza, aniżeli żmudnym szlakiem lądowym).

Francuzi przez 16 dni trzymali się doskonale a ich dowódca gen. Koenig, zawzięty Alzatczyk, wykazał, *że żołnierz francuski pod dobrym dowództwem i z dobrym sprzętem bije się jak należy.* Bir Hakeim stał się częściową rehabilitacją żołnierza francuskiego: jesteśmy pewni, że nim wojna upłynie, jeszcze niejeden raz żołnierz francuski da dowody męstwa. Albowiem *kryzys zaczyna się zawsze na stanowisku dowódców.*

Niebezpieczeństwo w Libii jest żywe, a jak powiada sprawozdawca jednego z pism londyńskich w depeszy z Libii, "każda godzina jest godziną krytyczną." Istnieją trzy możliwości: albo Anglicy opanują położenie i rozgromią trzy kolumny pancerne, które nadmiernie szybko znalazły się na szlaku tobruckim, albo Rommel zdoła wedrzeć się do Egiptu, albo zatrzyma się na granicy i—jak to trafnie ujął "Evening Standard"—"będzie stanowić stałą groźbę dla Egiptu i Średniego Wschodu."

Anglicy winni wytężyć wszystkie swoje siły, ażeby złamać Rommla. *Afryka musi być oczyszczona. Afryka winna być lądem całkowicie wolnym od nieprzyjaciela*—wystarczy, że są tam już t.zw. neutralni /Francuzi i Hiszpanie/.

SOJUSZ ROSYJSKO-ANGIELSKI

W Londynie podpisano sojusz sowiecko-angielski na lat 20. Umocniono więzy już istniejące. Rosja otrzymywać będzie wszelką pomoc od Anglii, Stany Zjd. będą dawać sprzęt w ramach t.zw. *Lend and Lease.* Rosja zobowiązuje się pracować przy dziele budowania pokoju i przyjmuje zasady Karty Atlantyckiej.

Jest to niewątpliwie krok naprzód, jeżeli chodzi o stosunki Rosji nie tylko z Anglią, ale z całym światem. Rosja chce zbliżyć się do świata, chce zbliżyć się do Europy. Stany Zjd. i W. Brytania uważają—i słusznie—że nie należy Rosji *odosobniać*, ale przeciwnie, wciągnąć ją do współpracy. Tylko w ten sposób znajdzie się pomost porozumienia z *odrębnym* światem sowieckim, tylko wtedy zbuduje się warunki rozwoju handlu europejskiego, który bez Rosji istnieć nie może.

Metoda anglo-saska jest metodą doświadczenia i trzeba ją uznać za słuszną. Świat anglosaski dochodzi do wniosku, że Rosja po tej wojnie będzie tak osłabiona, iż jej *ambicje rewolucyjne skurczą się*, a może w ogóle przestaną istnieć i że właśnie na tym tle dojść może do porozumienia reszty Europy z Rosją: z chwilą, gdy Europa przestanie się obawiać podmuchów rewolucyjnych ze strony Rosji, czy chęci siania ziarna *kominternowskiego*, powstanie może zaufanie, *bez którego nie ma mowy o jakiejkolwiek atmosferze porozumienia w Europie.*

Stanowisko Polski zostało jasno określone oświadczeniem generała Władysława Sikorskiego. Polska jest zadowolona, że Rosja opowiada się jawnie i otwarcie za zasadami, które obowiązują Polskę: *hasłami Karty Atlantyckiej.* Porozumienia między narodami tworzą się powoli. Początek jest zrobiony a teraz wszystko zależy *od dobrej woli Rosji*, która swoim doskonałym oporem sprawiła, że plany "błyskawicznej akcji" niemieckiej spaliły na panewce.

SEBASTOPOL I KAUKAZ

Niemieckie wysiłki nie słabną i jasne jest, że armie Trzeciej Rzeszy chciałyby za wszelką cenę zdobyć Sebastopol. Napór na tę twierdzę jest olbrzymi. Niemcy rzucili wielkie siły, ażeby złamać opór twierdzy. Wiedzą oni, że bez jej zajęcia nie można marzyć o "skoku" na Kaukaz. Sebastopol stanowi bowiem zagrożenie tyłów niemieckich, a ponadto flota czarnomorska może korzystać dalej z portu.

Jeżeliby Sebastopol padł, możliwości lądowania na Kaukazie poprawiają się. Przesmyk kerczański jest wtedy do sforsowania /doniesienia niemieckie, że wojska niemieckie sforsowały już w paru miejscach ten przesmyk *nie* potwierdzają się/. Kaukaz jest dalej celem ofensywy niemieckiej. Jedno z pism fińskich powiada wcale otwarcie, że "nawet jeżeli Rzesza przystąpiła do wojny z olbrzymimi zapasami ropy i benzyny, to *kampania wschodnia wyrwała potężne luki w tych zasobach.*"

Niemcom trzeba ropy oraz benzyny. Trzeba im także pomocy obcej. To, że Hitler udał się samolotem do Finlandii, ażeby naradzać się z Mannerheimem, znajduje dzisiaj wytłomaczenie na tle sojuszu anglo-sowieckiego. Wiarygodne pogłoski powiadają, że ze strony Stanów Zjd. istniały w przededniu podpisania sojuszu londyńskiego poważne starania, ażeby dać gwarancję dla granic Finlandii i że Hitler dowiedziawszy się o tych posunięciach amerykańskich przeląkł się, iż utraci sojusznika. Dlatego fatygował się osobiście do marszałka Mannerheima.

Rzesza wykrwawia się dalej na przestrzeniach rosyjskich. Nie widać jakoś rozwinięcia się wielkiej akcji niemieckiej. Zbliżamy się do kresu pierwszego roku wojny niemiecko-rosyjskiej. Spełnienia planów niemieckich nie widać. Front wschodni pochłania ofiary i będzie je dalej pochłaniać.

Londyn, 14 czerwca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Spotkanie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")





Z piasków Pustyni Zachodniej przyszła na spotkanie Polaków z Rosji Brygada Strzelców Karpackich

Gdzieś w Persji, maj 1942

Jedni szli z pustyni, gdzie parzyło ich wściekle bezlitosne słońce Afryki, spalały wiatry pustynne i siekł gorszy od wszystkiego stalowy deszcz pocisków.

Drudzy szli poprzez lody arktyczne, wśród nocy zimowej, która trwała miesiącami i gdzie dręczyła ich gorsza od wszystkiego tęsknota za wolnością.

Szli ku sobie. I spotkali się.

Brzmi to jak najfantastyczniejsza baśń. Jedna z gigantycznego cyklu tych legend polskich, które tworzą przedziwną i heroiczną historię naszego kraju i naszego narodu.

Ci z pod bieguna północnego, z Archangielska, z Komi, z Kazakstanu, Uzbekistanu spotkali się z tymi z Libii i z Egiptu, z pod Bardii, Tobruku i Gazali.

Jedni i drudzy przetrwali najgorsze, oparli się najgorszemu, bo temu, co łamie najsilniejsze charaktery: lękowi śmierci. I teraz pójdą walczyć wspólnie ze złem, które chce zawładnąć światem—nikczemnym, podłym, odwiecznym wrogiem, co wydarł im ich świętą ziemię. I nie spoczną, póki tego wroga ze świętej polskiej ziemi nie przepędzą precz i na zawsze.

Jakiż głęboki symbol tkwi w tym, że ci rozdzieleni przez los Polacy—żołnierze połączyli się właśnie w dniu Trzeciego Maja, w rocznicę tak pięknego święta narodowego.

O tym właśnie mówił w dniu spotkania przed mszą św. dowódca Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. Józef Zając. Oto jego słowa:

"Żołnierze!

"Dzisiejsze święto Trzeciego Maja obchodzimy w szczególnych okolicznościach. Bo oto stoicie dzisiaj w dniu święta narodowego naprzeciw siebie i spoglądacie sobie w oczy: wy, żołnierze, którzy przeszliście twardą szkołę życia i utworzyliście oddziały polskie w Rosji sowieckiej pod dowództwem gen. Andersa i wy, żołnierze Karpackiej Brygady, którzy pod dowództwem gen. Kopańskiego w dziesięciomiesięcznej kampanii w Pustyni Zachodniej nabraliście doświadczenia bojowego potrzebnego do walki z dobrze przygotowanym odwiecznym wrogiem i wsławialiście imię żołnierza polskiego w bojach Tobruku, pod Gazalą i Bardią.

"Rozeszliśmy się w Ojczyźnie naszej po kampanii we wrześniu i październiku 1939 r. w różnych kierunkach. Niektórzy zostali w Ojczyźnie lub poszli do niewoli niemieckiej. Dzisiaj dokonywuje się jedna z koncentracji sił polskich. I jedni i drudzy przemierzyliście tysiące kilometrów, szliście różnymi drogami, aby spotkać się tutaj na nowej drodze do Polski.

"I oto dzisiaj, w dniu Trzeciego Maja, który tyle kryje wspomnień z dalekiej naszej przeszłości i z tej bliskiej, w wolnej Ojczyźnie, stoicie tutaj naprzeciw siebie i z radością i szczęściem spoglądacie w oczy swoich rodaków pytając się, co jeden drugiemu przynosi. Jestem przekonany, że w tej chwili tylko najlepsze, najczystsze uczucia ożywiają nas wszystkich. Napewno każdy z nas czyni w tej chwili postanowienia, że wszystko da z siebie, by wspólnie i w najlepszej harmonii pracować nad odbudową siły zbrojnej. Napewno każdy z nas chce wyrzec się własnych swoich ambicji, swoich własnych myśli i dążeń.

Natchnienie do postanowień daje nam i przykład tych, którzy tworzyli akt Konstytucji Trzeciego Maja, który jest aktem wyrzeczenia się prawa jednych w stosunku do drugich. Natchnienie do takich postanowień daje nam także to wszystko, co każdy z nas przeszedł i przeżył po utracie Ojczyzny. Natchnienie do tego wypływa z postawy, jaką nakazuje nam Kraj i rodacy nasi, walczący tam bez przerwy i w znacznie trudniejszych niż my warunkach.

"Żołnierze! Znajdujecie się w pobliżu miejsc najświętszych dla każdego serca chrześcijańskiego. A taki fakt, jak wiara w Boga, da nam wszystkim większą siłę do wprowadzenia w życie tych szlachetnych postanowień.

"Dzień dzisiejszy wybrałem jako pierwszy dzień istnienia Dywizji Karpackiej, która powołana została do życia na podstawie decyzji Naczelnego Wodza i na której dowódcą wyznaczony został wypróbowany w dowodzeniu i w bojach gen. Kopański, dotychczasowy Dowódca Brygady. Dywizja ta będzie składała się z dawnej Brygady Karpackiej oraz z wyznaczonych oddziałów wojsk przybyłych z Rosji. Jestem głęboko przekonany, że ten aliaż różnych z pochodzenia, ale równie wartościowych elementów da w rezultacie stop szlachetny, da dywizję o wielkiej sile bojowej oraz zwartą i solidarną tak w szkoleniu, jak i w boju jednostkę.

"Kończąc życzę Wam, żołnierze Karpackiej Dywizji, byście jak najprędzej osiągnęli gotowość bojową i byście jak najprędzej mogli walczyć z odwiecznym wrogiem o odzyskanie naszej ojczyzny. I jest to moje serdeczne życzenie zarówno z okazji powstania w dniu dzisiejszym Karpackiej Dywizji, jak też z powodu święta Konstytucji Trzeciego Maja, jak też wreszcie z tego powodu, że po przejściu tysięcy kilometrów spotkaliście się tutaj w drodze do Polski.

"Na znak, że kochamy Ojczyznę i że chcemy ją znowu wyzwolić przez nasz trud żołnierski i naszą krew, wznieście razem ze mną okrzyk:

"Rzeczpospolita Polska, Pan Prezydent R.P. i Naczelny Wódz niech żyją."

Z tysięcy piersi wyrwał się potężny okrzyk—niech żyją!

"Żołnierze!—mówił dalej generał Zając—jesteśmy w sojuszu z Wielką Brytanią, która umożliwiła nam tworzenie armii do walki z Niemcami, która na każdym kroku pomaga nam w tworzeniu wojska, a ostatnio wszystkich środków używa, by żołnierze z Rosji tutaj w jak najszybszym czasie przybyli. Dzisiaj mamy wśród nas licznych Jej przedstawicieli z Brygadierem Eearlingtonem na czele.

"Na cześć sojuszniczki naszej i jej głowy państwa wznieśmy okrzyk:

"Jego Królewska Mość Jerzy VI, Król Wielkiej Brytanii niech żyje."

Nowe okrzyki "niech żyje" wstrząsnęły powietrzem. Proste żołnierskie słowa generała dotarły do serc żołnierzy, zostawiając w nich ślad niezatarty.

Po polowej mszy św. nastąpiła wzruszająca chwila, gdy przybyłe z Rosji sowieckiej oddziały przywitały przybywającą z Libii na nowe miejsce postoju Brygadę Karpacką. Serdecznymi słowy przemówił ppłk. P.

"Witajcie! Od czasu, kiedy przebyliśmy tak wielkie przestrzenie oraz przekroczyliśmy dzielące nas granice, przeżywamy szereg niezwykłych wzruszeń. Pierwsze wzruszenie—to przekroczenie granicy perskiej, drugie—to wjazd do Palestyny, a dla nas katolików—Ziemi Świętej. Trzecie—to spotkanie z Wami, drodzy Koledzy.

"Nie myślcie sobie, że my o was nie słyszeliśmy. Mimo kordony, mimo krat, mimo niezmierzonych przestrzeni — cudownym jakimś sposobem dochodziły do nas odgłosy walk i echa waszych strzałów—Was, oddziałów polskich walczących na wszystkich krańcach świata o naszą Polskę i nowy ład.

"Niejednokrotnie zazdrośni byliśmy o to właśnie, dlaczego W y a n i e M y! . . . Myślę, że tę zazdrość nam wybaczycie. Wśród tych odgłosów znalazły się również echa Waszych walk tam na południu,—na piaskach afrykańskich.

"A teraz za najłaskawszym zrządzeniem Opatrzności dwie grupy wojska polskiego łączą się razem na terenie Ziemi Świętej, by stąd wspólnym już szlakiem pójść na północny zachód—na oswobodzenie naszej drogiej Ojczyzny.

"Rozumiecie teraz Koledzy nasze przeżycia i nasze wzruszenie. My żołnierze-tułacze łączymy się wspólnie na terenie Ziemi Świętej i to w rocznicę jednego z najpiękniejszych naszych Świąt Narodowych, bo w dniu Trzeciego Maja. To zestawienie faktów ma swoją wymowę, ma swoją treść. A fakty te wiąże nad naszymi głowami Opatrzność, która oby pozwoliła nam w swojej wszechmocnej łaskawości otworzyć jak najszybciej zamknięte jeszcze drzwi do naszej Ojczyzny. Na progu bowiem już się znajdujemy.

"Bądźcie pozdrowieni, Koledzy—bo tylko tymi słowy mogę się do Was zwrócić i Was powitać.

"Sławna Karpacka Brygada i jej żołnierze—niech żyją!"

Imieniem żołnierzy Brygady Karpackiej przemówił jeden z jej młodszych oficerów ppor. L-ski, witając w słowach prostych i gorących Kolegów przybyłych z Rosji.

Podkreśliwszy, iż wielkie cierpienia, jakie przeszli oni w ciągu przeszło dwuletniej niewoli, nie zdołały złamać ich ducha, ducha polskiego, który jest niezłomny—mówił:

"Dziś my żołnierze Brygady Karpackiej, którzy mieliśmy to szczęście walczyć z wrogiem na polach bitewnych w Tobruku, pod Gazalą i Bardią, brać odwet za krzywdy wyrządzone Ojczyźnie naszej—witamy Was, jak braci najserdeczniejszych, sercom naszym najbliższych.

"Wierzymy, że w wspólnym żołnierskim trudzie poniesiemy nasz sztandar zwycięski do wolnej, ukochanej Ojczyzny."

Po odegraniu hymnów narodowych polskiego i angielskiego odbył się koncert z udziałem orkiestry jednego z pułków piechoty, chóru tegoż pułku i solistki ochotniczki p. Weroniki Ignatowicz. Na bogaty program złożyły się liczne utwory muzyczne, wiersze, pieśni, piosenki powstałe w Rosji Sowieckiej, lub po drodze z Rosji, z entuzjazmem przyjęte przez zebranych tłumnie żołnierzy.

Zawody sportowe, a wieczorem akademia, poświęcona Konstytucji Trzeciego Maja zapełniły i zakończyły ten niezapomniany historyczny dzień spotkania.

Historyczny, gdyż otwiera on nowy okres w dziejach polskich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie, okres nowych bojów i zwycięstw, okres, który rozpoczęty tym spotkaniem na Ziemi Świętej, zakończy się, oby już niezadługo wspólnym wkroczeniem do wyzwolonej z pod ucisku najeźdźcy Polski.

WACŁAW SIKORSKI

Ze śnieżnych obszarów Rosji do wojska polskiego, które jest i które walczy, przybyli wysiedleńcy polscy





LUBEKA — ROSTOCK — KOLONIA

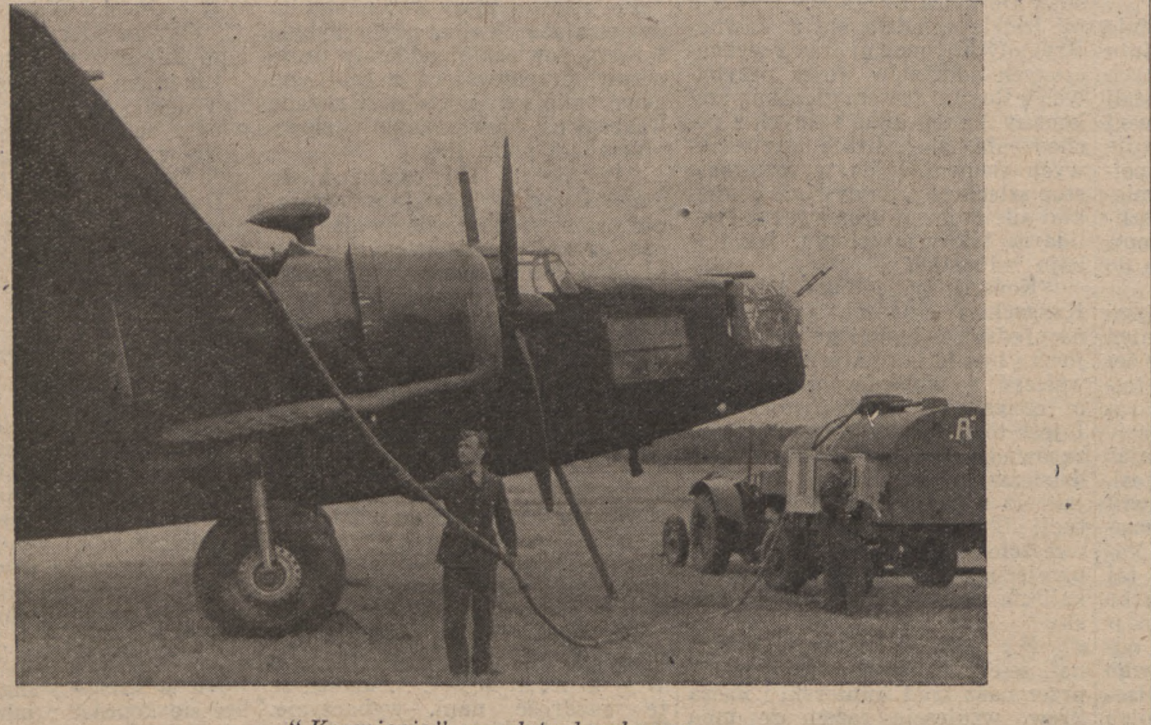
Trzy miasta niemieckie, które każdemu Polakowi, a specjalnie nam lotnikom, którzy brali udział w zniszczeniu tych gniazd wrażego plemienia, wrosły w pamięć. Bo to był odwet za Warszawę, za tyle polskich miast i wsi, odwet w nikłym na razie procencie, ale Niemcy już odczuli co to znaczy być słabszym. Krzyczeli i krzyczą na cały głos, że morduje się niewinną ludność cywilną, że bombarduje się szpitale i kościoły, choć od dwuch lat robią to samo—zaczęli od Polski, przeszli całą Europę i zatrzymali się na wschodzie.

Rozbudził się drzemiący lew brytyjski—1100 samolotów bombowych, a na nich dwa bratnie narody—Polacy i Czesi wśród Anglików ruszyło w powietrze, by wziąć odwet za krzywdy wszystkich narodów, w największym nalocie, jaki zna historia świata.

Ci, którzy nie lecieli, zazdrościli nam lotów na Lubekę, Rostock i Kolonię, tak jak zazdroszczono tym, którzy w listopadzie przeszłego roku latali na Berlin.

28 MARCA 1942 R. LUBEKA

Cel zapowiadał się piękny. Powiedziano nam, że nie można bombardować niżej niż 2000 *feet*. OPL zapowiedziane bardzo słabe. Ponieważ pogoda była piękna, każdy zacierał ręce z radości, a strzelcy samolotowi umawiali się, by grzać do miasta z CKM-ów. Start—po nim aż do brzegów Elby lot monotonny i spokojny.



"Karmienie" samolotu bombowego

Piloci wpatrzeni w nafosforyzowane zegary, a przede wszystkim w busolę, nawigator z radiooperatorem zapracowani w swych kabinach. Od czasu do czasu obserwator rzuca pytania, piloci lub strzelcy odpowiadają.

Zbliżając się do Helgolandu—wyspy ziejącej bardzo celnym ogniem każdy z lotników stara się dokładnie określić swą pozycję, by tam nie wpaść. Pomoże mu czasem w tym inny samolot, który swym nieuważnym lotem zbudzi drzemiącą obsługę dział, a tym samym ostrzeże inne lecące załogi.

Od ujścia Elby widać już daleko, bo w odległości 90 mil, łunę na wschodzie. Odruchowo każdy pilot, a więc i mój dowódca dyonu, który pilotuje—zwraca tam samolot. Leżę w wieżyczce bombowej, dmuchając z zimna w ręce i bijąc nogami. Staram się uchwycić jakiś punkt w terenie, co mi się nie udaje mimo stosunkowo jasnej nocy. Przekroczyłem Kanał Kiloński nie widząc go.

Po pewnym czasie głos dowódcy ostrzegł mnie, bym się rozpoznał w terenie, bo cel prawdopodobnie jest bliski. Udało mi się to zrobić dopiero blisko celu, gdy odnalazłem jezioro z charakterystycznymi granicami lasów obok. Podałem kurs bojowy.

Pod nami roztaczał się widok nigdy niezapomniany, bo widziany pierwszy raz w życiu. Maszyna ucichła i na przymkniętym gazie zaczęła schodzić w dół z 19.000 feet. Była podobna do kota, skradającego się do swej ofiary. Schodziła, a raczej płynęła w dół szybko, mając w swym wnętrzu równo 4000 funtów bomb. Centrum miasta otoczone ramionami rzeki, wyglądało jak baśń. Na dole grała tylko lekka artyleria i jedna bateria średniego kalibru przy współpracy kilku reflektorów.

8.000 feet wystarczało, by miasto widzieć jak na dłoni, zresztą zejście niżej nastręczałoby trudności przy nabieraniu wysokości do 20.000 feet, by przejść Kanał Kiloński, silnie broniony.

Widząc płonące centrum miasta od razu zdecydowałem, że tam bomb już nie ma poco rzucać i starym zwyczajem wybrałem przedmieście na wschodnim skraju rzeki, które jakby starało się ukryć pod osłoną dymów przed lotniczym okiem.

Szybko nastawiłem wysokość bombardowania, odbezpieczyłem bomby, ustawiłem "distributor" i wszystkie kontakty opuściłem w dół, trzymając przycisk w ręce. Podałem dokładny kurs bojowy, kilka poprawek w prawo lub w lewo—kazałem pilotowi otworzyć drzwi od komory bombowej, a skoro cel znalazł się na fosforyzowanych kulkach i celowniku, nacisnąłem . . . Bomby 6 x 500 funtów i 1 x 1000 wypadały w kolejności w odstępach 1/10 sekundy—samolot po oderwaniu się tej ostatniej podskoczył do góry jak piłka. Pilot, skoro mu zameldowałem o wyrzuceniu, "jettisonował", by jeśli jakaś maruderka-bomba została—zmusić ją do ucieczki.

Kurs powrotny—tylny strzelec melduje wybuchy bomb a po paru minutach nowe pożary. Zacieram ręce, ale już nie z zimna. . . . Silniki ryczały na pełnych obrotach, na jakie pozwalała wysokość, a maszyna uwolniona od ciężaru, darła w górę.

Jakie 50 mil od celu zaczęło się piekło. Teraz dopiero reflektory z artylerią dały z siebie co mogły. Samolot nabierał wysokości mając przez to małą szybkość, i jeszcze: przez robienie uników tracił połowę tego co zrobił. Wiatr był od czoła—te 50 mil wydawało mi się wiecznością. Nie chcąc sobie psuć nerwów tym widokiem, ordynarnie zwiałem do swej kabiny, gdzie jak "struś" schowałem głowę przed niebezpieczeństwem.

Wreszcie przedni strzelec zameldował brzeg morski—prześlizgnęliśmy się między lądem a Helgolandem. Na brzegu pożegnały nas "flakshipy" /okręty OPL/—dalej lot aż do Anglii był spokojny.

Na naszej stacji radość, którą zakłóciła strata jednej załogi—ale to wojna . . .

Na drugi dzień wróciły oba gołębie z zaginionego samolotu, nie przynosząc niestety żadnej wiadomości na swych łapkach. Poczciwe ptaki,—jak orzekli spece-gołębiarze—leciały 7 godzin do swego gniazda. W każdym razie była nadzieja, że są uratowani, choć może są w dindze na morzu. Za trzy tygodnie przyszedł list z zawiadomieniem, że są w niewoli razem.

23, 24 i 26 KWIETNIA 1942 R. —NALOTY NA ROSTOCK

"Polacy biorą odwet za Warszawę"—tak podały niektóre gazety angielskie.

Rostock — więcej jeszcze na wschód od Lubeki, a do Polski tylko 210 mil /1 1/2 godziny lotem/. Z utęsknieniem patrzyliśmy w tamtym kierunku, żeby to było trochę więcej benzyny, to . . .

Zdaleka widać już reflektory i pociski artyleryjskie, widać jak my to nazywamy "choinkę," bo różne kolory pocisków mieszają się wraz z reflektorami przypominają kształt tego drzewa. Pilot nie patrzy na busolę, ale leci na "przełaj," sprawdzając czasami, czy podany przeze mnie kurs zgadza się z kursem obecnym.

Mój cel—obiekty wojskowe nad rzeką. Fabrykę Heinkla położoną bardziej na północy obrabiają inne samoloty. Miasto już się pali, choć nie w takim stopniu jak Lubeka. Trochę, a raczej połowa tej ilości samolotów co tam, jest dziś w akcji. Wokół miasta sztuczne pożary */dummy fire/*, odcinające się jasnym i migocącym płomieniem od czerwonokrwistych ogni rzeczywistych. Za często je widziałem, by się nabrać. Sztuczne wybuchy bomb też nie przemawiały mi do przekonania. Tylko czasem gdy jest mglisto, załogi dają się zmylić.

Nad miastem dym, brak silnego wiatru stanowi jakby osłonę sztuczną. Zidentyfikowałem cel z planem, charakterystyczne zagięcie rzeki było dobrym punktem sprawdzenia. Duża luka wśród dymów. Idziemy kursem bojowym, lekko z lewej. Z 13.000 feet widzę duży, rozsiadły budynek oświetlony łuną pożaru. Tam postanowiłem "rzepnąć" cały ładunek bomb. Naprowadziłem światłami—niebieskie i czerwone—pilota w pożądanym kierunku i wszystkie bomby /3.500 funtów/ salwą wyrzuciłem z brzucha samolotu. Samolot poderwał się do góry—myślałem, że pocisk artyleryjski się rozerwał pod nami. Wybuchów nikt nie widział—przesłoniły je dymy.

Podaję kurs powrotny. Niestety drugi pilot zgubił kartkę z wypisanymi kursami. Podałem go na oko i wróciłem od razu do stolika, by sprawdzić, czy się nie pomyliłem—pomyłka wynosiła 6°. Teraz zawsze piszę na dwóch kartkach kursy, jeden dla pilota, drugi dla siebie do kieszeni.

Droga powrotna upływa w ciszy, tylko na zachodnim wybrzeżu Danii dwa myśliwce niemieckie przeleciały pod nami patrolując brzeg. Albo nas nie widzieli albo nie chcieli atakować—tłumacząc się wobec własnego sumienia, że to morze i nie "Vaterland." Zasmakowali niedawno jak to Polak dobrze celuje, bo jeden z naszych strzelców strącił myśliwca broniąc się przed niemiecką natarczywością.

Po dwóch dniach podano w gazetach, że największy kościół św. Mikołaja w Rostoku legł w gruzach—może to moje "kuferki" tam wpadły—zaniepokoiłem się. Ale ponieważ jestem wierzącym i praktykującym katolikiem, udałem się do bawiącego u nas ks. dziekana D. i wyjawiłem mu swój niepokój. Pocieszył mnie, że tam równie dobrze mogły być składy wojskowe. Odetchnąłem pełną piersią.

24.4.1942 r. na naszej stacji gościł Naczelny Wódz gen. Sikorski z okazji rocznicy pierwszych lotów bojowych naszego dyonu. Dyon dał pełny wysiłek bojowy—maszyny startowały w odstępach 1—2 min., a następnie defilowały na kursie do celu przed swym kochanym Wodzem, który następnego dnia powiedział: *"Była to najpiękniejsza defilada, jaką odebrałem w życiu."*

Niestety nie brałem udziału w tej wyprawie, patrzyłem tylko tęsknym okiem za odlatującymi maszynami, a rano cieszyłem się, bo wszyscy wrócili.

26.4.1942 r. znów Rostok—widocznie cel mało zniszczony, choć gazety pisały, że wszystkie drogi są zawalone uciekającymi ludźmi i wozami z palącego się i zniszczonego miasta.

Do celu lot normalny, obrona nad celem już wzmocniona, zwłaszcza w rejonie fabryki Heinkla—to też trzymamy się wyżej. Widoczność dobra, a zwiększa ją jeszcze księżyc, który na kursie bojowym świeci nam w oczy, przez co tworzą się odblaski na wodzie. Te części, które nie zostały spalone lub zniszczone, miał spotkać ten los nocy dzisiejszej. Zwłaszcza "Heinkel."

Na tym locie zaprzestano "blitzów" na Niemcy, aż do końca maja. Jeszcze dnia 27 kwietnia Kolonia odczuła średni, lecz krótki "blitz," bo w 10 minut było 110 samolotów nad miastem, nasilenie ognia artylerii maksymalne—w powietrzu piekło, na ziemi "raj."

Pierwszy raz w tym locie stwierdziłem jak spokojny jest mój pierwszy pilot. W momencie, gdy dolatywaliśmy już na kursie bojowym do celu, drugi pilot powiedział:

—Jasiu, przed nami strasznie silna zapora ogniową, rwie się cholernie dużo pocisków.

Chwila ciszy, a potem ten, który raczej z usposobienia jest podobny do najbardziej typowego Anglika, odrzekł z największym spokojem:

—Poto jest artyleria, żeby strzelała, nie będą strzelali pomarańczami, tylko pociskami.

Przyznam się, że zgłupiałem z tej miłej dla ucha odpowiedzi, ale kurs bojowy był utrzymany.

HISTORYCZNY DZIEŃ 30 MAJA 1942 R.

"Wiele znaków na niebie i ziemi," a właściwie na naszej stacji lotniczej wskazywało, że coś się święci, lecz nikt nie przeczuwał tego, co przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Po dłuższym okresie niepogody, o którą Niemcy się tak modlą obecnie, jak my we wrześniu 1939 r., po ciągłych odwoływaniach lotów—zarządzono wreszcie odprawę wszystkich załóg bojowych. Sala odpraw wypełniła się po brzegi. Mapy wskazywały jako cel Kolonię, lot w prostej linii, a nie jak zawsze połamana trasa, cel zapasowy Ruhra, jeśliby były chmury nad celem głównym. Nie uśmiechało się nam Essen, bo znamy tam siłę ognia artylerii—zresztą za dwa dni i tam zawitaliśmy znowu.

Na podwyższenie wchodzi angielski komendant stacji /co robi rzadko/ i odczytuje dwa listy od D-cy Lotnictwa Bombowego i D-cy naszej Grupy. Nie wszyscy dokładnie rozumieją, lecz każdy z nas odczuł, że jest to historyczny dzień wojny, który wiele może zaważyć na szali tej bezprzykładnej w dziejach walki. Skoro usłyszeliśmy o ilości samych bombowców,—nie mówiąc już o "intruderach," którzy mieli wymiatać lotniska myśliwskie na naszej trasie, wszystkie "pyski lotnicze" pokraśniały, oczy zapłonęły żarem—pierwszy raz poczuliśmy się silni.

Ci, którzy nie byli wyznaczeni, patrzyli z żalem na kolegów. Zaczęły się użalania po wyjątkowo długiej, bo godzinnej odprawie. Wszyscy, od najstarszego do najmłodszego wiekiem i od najmłodszego do najstarszego stopniem, pragnęli tam lecieć. Starsi stopniem lecieli wszyscy—angielski komendant stacji, polski senior oficer, d-ca dyonu i d-cy eskadr—każdy chciał tam być w tym dniu, który Niemcy nazwali "Terror attack." W operacji wzięły udział samoloty lotnictwa bombowego, D-twa wybrzeży i armii oraz lotnictwo myśliwskie.

Niemcy twierdzili następnego dnia, że zostały zniszczone trzy kościoły i dwa szpitale—no to i tak dużo jak na radio niemieckie, choć przyznali się, że był to największy dotychczas atak na centrum miasta Kolonii. A było ich już poprzednio 106.

Rzeczywiście był to nalot straszny, strata 44 maszyn, jak podają Anglicy, stanowi zaledwie 3½%*, Niemcy zaś twierdzą, że zestrzelili 36. Niemieckie lotnictwo traci obecnie nad Anglią 10-15% swych bombowców, a czasem jeszcze więcej. Największa ilość straconych maszyn niemieckich w ciągu jednego nalotu w nocy była 33 w czasie ataku na Londyn dnia 10.V.1941 r. Ostatnią dotkliwą stratę, jaką poniosło lotnictwo angielskie, było 37 maszyn dnia 7 listopada 1941 r. w czasie lotu na Berlin, ale tam silna zmiana wiatrów zmusiła wiele samolotów do lądowania z powodu braku benzyny i pobłądzenia. Wiele maszyn lądowało we Francji nieokupowanej, a obecnie z Vichy nadchodzą już wiadomości, że tam lądowały uszkodzone maszyny.

* Nie wiadomo ilu było "intruderów" czyli myśliwców, a tych zginęło sporo, bodaj więcej niż bombowców.

Jak podało Ministerstwo Lotnictwa następnego dnia w telegramie gratulacyjnym "Bombardowanie Kolonii, trzeciego co do wielkości miasta Niemiec, najbardziej przemysłowego i największego centrum kolejowego w Nadrenii, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania, za co składam serdeczne gratulacje wszystkim załogom, tak za ich pracę ofiarną, jak i za poświęcenie"—podpisał Bomber C. in C. Air Marshal A. T. Harris. Jak wielki wysiłek włożyło w to całe dowództwo, by wysłać nad Niemcy około 1.100 samolotów bombowych, czyli około 8.000 ludzi, nie mówiąc o myśliwcach, jak dobrą i sprawną organizację wykazały wszystkie wielkie i małe jednostki bojowe do poszczególnych załóg włącznie—ten tylko może sobie wyobrazić, kto jest lotnikiem. Na jednego latającego w powietrzu pracuje około 20 ludzi na ziemi, czyli około 150.000 ludzi brało udział w tej krótkiej, lecz pełnej sukcesu ofensywie.

W powietrzu była nakazana bezwzględna cisza radiowa, mogli ją przerwać tylko żądający pomocy lub będący w niebezpieczeństwie. Wszyscy zdali egzamin—począwszy od d-ców a skończywszy na szeregowcach. Nawet reflektorzyści pracowali z nami bardziej wydatnie, wskazując przy powrocie z powodu złych warunków atmosferycznych kierunki do lotniska, oświetlając balony i t.p. Duży wkład pracy dali mechanicy, którzy przygotowali maszyny do lotu z wspaniałą precyzją. Nie darmo premier Churchill wysłał depeszę gratulacyjną do Air Marshall A. T. Harrisa "Gratuluję Panu i wszystkim z dowództwa bombowego za szczególną i godną uwagi sztukę organizacji, która umożliwiła Panu wysłać ponad 1.000 samolotów bombowych w rejon Kolonii w ciągu jednej nocy i [illegible] akcji nad celem w tak krótkim czasie jak pół godziny."

Odprawa . . .

Wyznaczono dokładnie trasy, których nie wolno było zmieniać. Nasz dyon szedł w trzeciej fali—przed nami miało opuścić już cel 400 samolotów. Celem wyprawy jak określał rozkaz było zniszczenie z powierzchni ziemi całego ciężkiego przemysłu wojennego, chemicznego i syntetycznego oraz fabryki silników Diesla, prócz tego unieruchomienie łączności telefonicznej całych zachodnich Niemiec wraz z siecią kolejową, a przede wszystkim [illegible] robotniczej całego okręgu.

Mpteo zapowiadało warunki znośne—około 4/10—5/10 zachmurzenia nad celem, silne oblodzenie w chmurach od 4—10.000 feet, przy powrocie deszcze w Anglii i widoczność do 2.000 yardów. Lecz nad celem było bezchmurnie, księżyc w pełni, ciepły prąd, który miał przyjść nad Anglię, zmienił swój kierunek i zawadził tylko swym lewym skrzydłem o Akwizgran, którędy wracaliśmy.

O nakazanej godzinie, w granicach 10-15 sek. różnicy wszyscy wystartowali. Szły takie ilości maszyn, że po drodze przyłączały jedne do drugich, co widziałem pierwszy raz w lotach nocnych. W kluczach po trzy samoloty "smarowały" do celu. Przyjemniej jest lecieć gromadą, jak ptaki. Nie znaliśmy się, nie wiedzieliśmy kto leci obok, ale to było obojętne dla każdego—czuliśmy się zbratani i silni. Napewno niejeden brat Czech leciał obok Polaka lub Anglika albo Kanadyjczyka i Szkota. Szliśmy, a raczej lecieliśmy tam złączeni jedną myślą—pokazać naszym odwiecznym wrogom co to jest siła, bo oni właśnie swój nowy porządek chcą oprzeć na sile.

Ilość samolotów dwukrotnie większa od jakiejkolwiek największej wyprawy angielskiej—ładunek bomb czterokrotnie większy. Nic dziwnego, szły /a jest ich co raz więcej/ czteromotorowce, które biorą olbrzymi ładunek bomb.

Już od Rotterdamu, który został lekko z lewej, pilot zawiadomił mnie, że daleko widać łunę na niebie i strzelającą artylerię. Obliczyłem na mapie, było 140 mil do celu—wysokość 14.000 feet. Na ziemi pod nami wyjątkowa cisza, czasem tylko tylny strzelec każe robić uniki, bo reflektor wskazuje drogę myśliwcowi lub biały beacon nadaje coś natrętnym nocnym "muchom."

Lot w jednej linii jest niebezpieczny, bo daje dobry namiar z ziemi. Dobra seria pocisków, starczy, żeby [illegible] samolot, jeśli nie trafić. To też moje obliczenia co do czasu nad [illegible] się zgadzają. Operator namiarów w tym wypadku bardzo się przydał. Ale cel jest przed nami, więc obawy co do nietrafienia są płonne.

Po przekroczeniu brzegu operator rzuca ulotki dla Holendrów. W tym czasie przestaje działać telefon samolotowy /intercom/—wzywam go [illegible] latarki ręcznej. Naprawić na stałe się nie da, bo wtyczka się obluzowała. Musi biedak całą drogę siedzieć i trzymać ją. Z braku telefonu tylny strzelec sygnalizował poprzednio już umówione znaki [illegible] lampki alarmowej, którą ma każdy z członków załogi przy swoim stanowisku. Przykre to uczucie, bo służy ona zasadniczo jako ostateczny rozkaz kapitana statku powietrznego do ratowania się na spadochronie—jeśli telefon nawali, a maszynie grozi niebezpieczeństwo.

Znudzony bezczynnością [illegible] i z nudów zacząłem porównywać mapę z terenem, bo cel był już dokładnie widoczny.

Zbliżając się do niego myślałem, że Niemcy nas nabrali—zamiast 150 reflektorów świeciło tylko kilka i to nie w stożkach, a pojedyńczo, artylerii ciężkiej ani śladu, średnia rzadko się odzywa, zamiast 500 dział strzelało tylko kilkadziesiąt i to lekkiego kalibru "kiełbaskami kolorowymi." O t.zw. choince ani mowy—w kierunku poziomym strzelało ich najwięcej—widocznie kilka samolotów buszowało nad samą ziemią, nie patrząc na balony zaporowe, by swymi K.M.-ami do reszty zdezorganizować i zdemoralizować obronę. Oczom własnym nie wierzyłem, potem jak 27.4.42 widziałem silną OPL.

Zacząłem orientować się w terenie. Pilot powiedział mi, że lecimy pod kursem 180°—wysokość 16.000 feet. Stwierdziłem dokładnie swoją pozycję, byłem 6-8 mil na północ od miasta. Z lewej strony Ren—wreszcie mosty na rzece, jeden olbrzymi pożar w centrum i wiele "*dummy fires*" upewniły mnie, że to Kolonia.

Na tle ogni widziałem kilkanaście czteromotorowców przelatujących pod nami, załoga co chwila meldowała przelatujące obok samoloty. W pewnym momencie przedni strzelec ostrzegł pilota, że zbliża się od przodu maszyna—a można się było spodziewać myśliwca, bo artyleria nie grzała. Były to bezpodstawne obawy. Całe OPL zostało zniszczone lub obsługa zdemoralizowana, nic już nie grało na ziemi, tylko świst średniego kalibru bomb i szum największych bomb, jakie zna historia lotnictwa doprowadzały do szału i obłędu ludzi na ziemi.

Wybuchy tych ostatnich bomb oślepiały na chwilę wzrok, a człowiek odnosił wrażenie, że tam na dole musi się odbywać trzęsienie ziemi. Niejedna rodzina niemiecka pozostała w piwnicy-schronie, przywalona gruzami domu, tak samo jak to było w Warszawie—z tą tylko różnicą, że Niemcy takich bomb nie posiadali ani przedtem ani teraz, bomb—które w promieniu 750-1.000 yardów niszczą całe bloki budynków.

Karabiny maszynowe, grające swoją pieśń zwycięstwa, też musiały odebrać Niemcom odwagę i napewno nie chodzili oni po ulicach, jak to czyniły nasze Polki i dzieci w Warszawie przy akompaniamencie pocisków artyleryjskich. Jeśli kto chodził, a raczej biegał po Kolonii, to tylko ludzie [illegible] i oszaleli ze strachu.

Centrum miasta płonęło . . . Jeden reflektor zaświecił mi w oczy, lecz jakby się przestraszył, szybko zgasł. Współpracy reflektorów z artylerią nie było—napewno wszelka łączność została przerwana, a obsługa pochowana w rowach przydrożnych lub wybita do nogi. Widząc płonące dzielnice robotnicze, starym swoim zwyczajem—podobnie jak w Lubece—wybrałem [illegible] i po sprawdzeniu na planie skierowałem pilota na kurs bojowy. Księżyc świecił prostopadle—widoczność jak w dzień—dym unosił się w kierunku wschodnim. Pilot nie robił uników, bo nie było potrzeby.

W pewnym momencie rzuciło mnie aż na bok wieżyczki—nie wiedziałem co się stało. To pilot zrobił skręt, a raczej rzucił maszynę w prawo, bo z przeciwnej strony prosto na nas leciał Wellington—przeszliśmy obok siebie o jakie 20 m. Naprowadziłem pilota na "dobrych i grzecznych" Niemców, by ich teraz wyniszczyć, bo złych zabije się po wojnie. Kazałem otworzyć drzwi bombowe. Była godzina 1.30—kurs bojowy nakazany 140°.

Po naciśnięciu guzika z komory bombowej wysypało się jak stado wron 810 bomb zapalających, które w świetle księżyca błyszczały i migały znów jak ława ryb w zarybionym jeziorze, gdy się im rzuca pokarm. "Małe i dobre rybki"—rozświetlą one tam na dole umysły Niemców i pokażą im jak to wojna wygląda. Ci zaś żołnierze, którzy przyjechali z frontu wschodniego na urlop—opowiedzą swym kolegom dywizji kolońskiej, jaki "blitz" w Niemczech widzieli.

Kurs powrotny przez 7 minut, a potem zmiana do domu. Wszedłem do wieżyczki astro. Do tego stopnia byłem uradowany, że zapomniałem użyć butli z tlenem do przejścia.

Patrzyłem w tył: tak musiał wyglądać pożar Rzymu lub pożar Moskwy. Dość często olbrzymie błyski na ziemi uzmysławiały, że to są wybuchy największych "kufrów." Na północ od Kolonii w rejonie Ruhry artyleria strzelała na całego przy współpracy reflektorów w stożkach. Albo nasi tam też działali w małej liczbie, albo Niemcy, jak to często czynią, by ratować jedno miasto od zagłady, otwierają silny ogień w innym miejscu, celem odciągnięcia nadchodzących samolotów.

Śmiesznie małe i głupio, odcinające się blado na tle rzeczywistego ognia miasta, wyglądały z daleka te sztuczne, migające światła i pożary. Patrzyłem zamyślony—pilot robił czasami uniki—obserwowałem też niebo, by myśliwiec nas z góry nie zaskoczył.

Ciszę przerwał jękliwym głosem radiooperator, prosząc mnie, bym na dwie minuty przytrzymał wtyczkę do "intercomu," bo on chce zobaczyć Kolonię. Nie mogłem mu odmówić tego widoku.

Około 80 mil od celu widziałem jeszcze wyraźnie palące się grupy ogni. Gdyśmy dochodzili do brzegów Holandii, wyraźnie było widać krwawą łunę na tle nieba, a na jej tle słupy dymu [illegible]

Ostry głos tylnego strzelca, "unik w prawo," by po sekundzie poprawić się "wróć, wróć, w lewo"—przerwał moje obliczanie przy stoliku. Wymiana strzałów z K.M.-ów [illegible] myśliwca trzymała nas krótką chwilę w napięciu. Pomyłka strzelca co do [illegible] uniku uratowała nas, bo w momencie jak Niemiec zobaczył, że robimy skręt w lewo, uczynił to samo—zaś nagły skręt Wellingtona pomylił mu obliczenia [illegible]. Myśliwiec więcej nas nie atakował.

W dwa dni potem przy powrocie z nad Essen w tym samym miejscu zaatakowały nas dwa myśliwce. [illegible] w lewo w dół w kierunku morza.



Podwiązywanie bomb przed lotem bojowym

Mój najpiękniejszy lot skończył się, a z nim 66.600 /sześćdziesiąt sześć tysięcy sześćset/ funtów bomb różnego kalibru i gatunku zostało w Niemczech.

Zaczęła się znów nudna praca namiarów nad morzem, obliczanie swej pozycji, by wejść na brzeg angielski w nakazanym miejscu. Przebiliśmy dwie warstwy chmur. Reflektory oświetliły nam balony lekko z lewej ręki. Podałem nowy kurs i dla odprężenia nerwów zapaliłem z radiotą papierosa, popijając gorącą kawą.

W bazie radość—wszyscy wrócili. Jako że sukces był pewny i bezwątpliwy, oficerowie informacyjni zadawali mało pytań.

Popołudniu oczekiwały nas wiadomości: "Wynik bombardowania przeszedł najśmielsze oczekiwania—dymy wznoszą się jeszcze nad celem do 15.000 *feet*." Szereg telegramów gratulacyjnych, m.in. odpis depeszy d-cy dotnictwa amerykańskiego, zapewniającej, że wkrótce taka sama liczba samolotów amerykańskich dopomoże do zniszczenia Niemiec i że przyjdzie dzień wkrótce, w którym Niemcy gorzko będą żałować chwili, w której wywołały wojnę.

A była to dobra praca, bowiem bomba spadała co 6 sekund, 10 samolotów przybywało nad cel co 1 minutę, ogółem zrzucono 3,000 /trzy tysiące/ ton bomb w półtorej godziny, podczas gdy na Coventry zrzucono 500 ton bomb w ciągu 5-6 godzin. Miasto Kolonia było dla nas lotników od brzegów holenderskich z odległości 140 mil światłem, do którego lecieliśmy jak ćmy nocne z tą różnicą, że podniecaliśmy tam ogień nie swoimi ciałami, jak to robią ćmy, ale swoimi bombami.

Pełny wysiłek—pełny sukces. Dla nas Polaków tym radośniejszy, że właśnie dwie "1.000" zbiegały się razem—tysiąc dni od napaści na Polskę i tysiąc samolotów nad Niemcami.

Czy to nie jest dobra wróżba?

EDWARD KWOLEK

Żołnierze Lotnictwa

Otrzymałem pismo od Ministra Lotnictwa W. Brytanii, w którym dziękuje za udział Lotnictwa Polskiego w potężnej ofensywie powietrznej na Niemcy, tak się m.in. o Was wyraża:

"Lotnicy Królewskich Sił Powietrznych, nauczyli się podziwiać wartość, zawziętość i sprawność swych polskich sprzymierzeńców.

W ostatnich operacjach wykazali oni ponownie, jak wspaniały jest ich wkład w niszczeniu nieprzyjacielskiej potęgi wojennej, które jest naszym wspólnym celem.

Jesteśmy wdzięczni Panu Generałowi za te groźne dla nieprzyjaciela dywizjony lotnicze; jesteśmy za nie wdzięczni Polsce."

Mam przed sobą sprawozdanie z Waszego udziału w potężnej ofensywie RAF'u. Zadawaliście druzgocące ciosy machinie wojennej Niemiec, bombardując Lubekę, Rostock, Kolonię, Essen i Bremę. W walkach myśliwskich, prowadzonych tak w dzień, jak i w nocy, wykazaliście swą wyższość nad Luftwaffe, zadając jej dotkliwe straty, wielokrotnie wyższe od strat własnych.

Jako Naczelny Wódz, oceniam bardzo wysoko wkład Lotnictwa Polskiego w prowadzonych obecnie działaniach, których wpływ na bieg wojny jest ogromny, a może mieć znaczenie decydujące dla jej ostatecznego wyniku. Wyrażam Wam w imieniu Służby Narodowej pełne uznanie za tę znakomitą pracę bojową.

Dbać będę o to, żeby w przyszłości wyrosło potężne Lotnictwo Polskie, ożywione tak świetną tradycją bojową, oparta na Waszej wspaniałej dzielności, sprawności technicznej, patriotyzmie i ofiarności bez granic.

**NACZELNY WÓDZ
I MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH
(—) SIKORSKI Generał Broni.**

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.VI. do 10.VI wł.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
pewnych — 7	Ilość wypraw: 6	Łączna ilość samolotów: 156
	Główne cele: Bremen, Essen, Emden.	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.VI.1942.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 462	Łączna ilość samolotów: 2734	

Głównymi celami naszego lotnictwa bombowego były w pierwszej dekadzie czerwca najbardziej czynne ośrodki niemieckiego przemysłu wojennego i porty.

Najważniejszą wyprawą był udział w olbrzymim raidzie na Essen.

Ponadto polskie lotnictwo bombowe zakładało miny na wodach nieprzyjacielskich.

Głównym zadaniem lotnictwa myśliwskiego była osłona wypraw bombowych na ważne obiekty wojskowe, położone na terenach okupowanych przez Niemcy, jak również wymiatanie samolotów myśliwskich nieprzyjaciela.

Lotnictwo myśliwskie polskie nie natrafiało w ostatnich swych wyprawach na poważniejszy opór ze strony nieprzyjaciela.

Godnym zanotowania jest fakt, że w liczbie 7 samolotów zestrzelonych przez naszych myśliwców, dwa zostały zestrzelone przez myśliwców nocnych.

Bez black-outu

Wielce Szanowna Redakcjo!

Pisząc ten drugi list do wielce poczytnej Redakcji mam bardzo mało miejsca postoju na stole, gdyż stoją na nim w dwuszeregu woreczki z pieniędzmi. Nie znaczy to, że spadła na mnie niespodziewana fortuna, lub że zostałem płatnikiem wojskowym—niech mnie Korpus chroni—nie, rzecz się ma inaczej. Przeprowadzam inspekcję pierwszego szeregu: worki nadymają się pensami, szylingi robią: "w lewo patrz," ja robię: "Odlicz!" i . . . nie mogę powstrzymać się od wzruszenia.

Ten pierwszy szereg szylingów i pensów, to dar niezwyczajny, to nowy zupełnie moment—daj Boże przełomowy—w naszej akcji na rzecz Polaków w Rosji. Ten pierwszy szereg woreczków to zebrana z pierwszego żołdu żołnierskiego otrzymanego na terenie Wielkiej Brytanii, ofiara żołnierzy dawnej 7 eskadry lotniczej przybyłych z Rosji. Byłem wśród nich przed kilkoma dniami, gdy stawiali pierwsze kroki na tej wyspie. Podeszli skromnie, coś cicho powiedzieli i do ręki wcisnęli mi pudełeczko z tytoniu fajkowego z "drobnymi" oraz zwitek banknotów. Przeliczyłem. 17 funtów i 9 szylingów. Mieli tylko jedno życzenie, które przekazuję Czerwonemu Krzyżowi w tej drodze:

—"Znamy ich potrzeby tam, wiemy, co to znaczy jeszcze jedna jesień i zima dla naszych najbliższych. Apelujcie o wysyłkę szybką, a przede wszystkim o wysyłkę w naturze" . . .

Patrzę na te funciaki, szylingi, pensy i rumieńce biją mi na twarz. Bez żadnego apelu, bez nacisków, bez oglądania się na własne, bardzo może w tej chwili pilne potrzeby, przychodzą ci ludzie skromnie z tak poważną sumą, odłożoną z pierwszego żołdu i proszą, żeby "po cichu." Długo, bardzo długo przetrzymałem zacną dłoń starszego sierżanta Antoniego G., szefunia eskadry, który wciskał mi w rękę dźwięczące pudełeczko z fajkowego tytoniu.

Bóg Wam zapłać, Kochani, nie tylko za te czyste, pierwsze funty, ale. przede wszystkim, za tę atmosferę, jaką stworzyliście dla tej ofiary. Powiało nowym duchem, tak dawno oczekiwanym—duchem bezinteresowności, osobistego wyrzeczenia się, skromności. . . . Jestem pewny, że duch ten będzie promieniował na tej wyspie silniej, niż Wam się wydaje, że z blasku Waszych oczu, które płoną, gdy mówicie o minionych cierpieniach i o nowej służbie—zapalą się i nasze, przygaszone daremnym oczekiwaniem serca żołnierskie. Patrzę na ten pierwszy szereg i nadzieja wstępuje we mnie.

W tym momencie rodzi się myśl uzupełnienia tej sumy 17 funtów i 9 szylingów do zawrotnej, być może, w naszych warunkach kwoty 1000 funtów. Wziąłem adres starszego sierżanta Antoniego G., by mu zameldować o tym, gdy robota będzie skończona. Myślę, że Szanowna Redakcja użyczy nam kącika na zapoczątkowanie i czasowe prowadzenie w ramach ogólnej pomocy dla Polaków w Rosji, działu pod hasłem: "Uzupełniamy pierwszą ofiarę Polaków z Rosji dla Polaków w Rosji." Uzupełnianie musi trwać przez lato. Do jesieni musimy być gotowi.

Inspekcja pierwszego szeregu ukończona. Przechodzę do drugiego rzędu. Tutaj meldują się woreczki z napisem: St. Andrews. A jak się stało—opowiem: "Po przemówieniu Mussoliniego na salę pomiędzy zebranych gości udali się Mr. Churchill w towarzystwie generała Tojo, którzy skierowali swe kroki na galerię. Równocześnie na parterze grasował marszałek Pétain, współpracując lojalnie z Rosją i Ameryką. Tyły parteru obsadził neutralnie uśmiechnięty prezydent Turcji Inonu . . ."

Pomyśli Szanowna Redakcja, że jej współpracownik z nadmiaru kłopotów "bezblackoutowych" dostał kręćka. Otóż właśnie, że jeszcze nie. Opisana bowiem scena wydarzyła się naprawdę w przerwie przedstawienia "Lwowskiej Fali," po "Szopce Politycznej" w przemiłym, starym miasteczku St. Andrews i w jeszcze milszym oddziele. Widownia złożyła na poczekaniu do alianckich "kepi," neutralnych fezów i czapek "Osi" 47 funtów 2 szylingi uzupełniając w ten sposób po raz pierwszy dar Polaków z Rosji.

Taka sama oracja "Il Duce" poprzedziła zbiórkę w batalionie Brygady Szkolnej w miejscowości D., gdzie ożywiona "działalność dyplomatyczna" "czołowych osobistości politycznych" dała w rezultacie 34 funtów 11 szylingów.

W imię sprawiedliwości międzynarodowej zaznaczam, że Hitler i Franco nie mogli wziąć udziału w tej akcji między rzędami, ponieważ zmieniali się w Szczepka i Tońka, których numer wypadał zaraz po antrakcie. Nie mniej jednak obydwaj "dyktatorzy" współdziałali w naszej radości.

Oddziałom, które pierwsze pośpieszyły na wezwanie "Mussa" i towarzyszy i bez musu, z własnej woli, hojnie rzuciły funtami, składamy serdeczne podziękowanie. Zapowiadamy lojalnie, że w czasie naszych przedstawień taki sam los czeka i inne oddziały. Aha i jeszcze coś: oddział, który złoży największą sumę uzupełniającą, otrzyma od "Lwowskiej Fali," mam wrażenie przy współudziale Szanownej Redakcji, piękną pamiątkę z podpisami Rodaków, przybyłych w tym miesiącu z Rosji.

Żywiej pulsuje krew, pióro szybciej chodzi po papierze. To nadzieja. Myślę, że tędy wiedzie najlepsza droga do prawdziwego zjednoczenia narodowego Polaków. Będzie to kiedyś, będzie dużo tematu do wzajemnych opowiadań, gdy się zjadą w Kraju Polacy z tych różnych stron dalekich, dokąd ich wojna zagnała; przyjadą: "Persowie," "Szwajcarzy," "Kanadyjczycy," "Egipcjanie," "Oflagowcy" i "Stalagowcy," "Sybiracy," "Mirandziarze" i . . . "Lordowie" /jak nas niestety pono nazywają/. Przyjdą "Krajowcy" i cieszyć się będą, że w takiej zgodzie i harmonii obradują ci Polacy z dalekich przybyli stron. Ale żeby tak było kiedyś—to już teraz muszą przede wszystkim i głównie "Lordowie" myślą i sercem ogarniać tych wszystkich, którym los zgotował gorszą dolę lub niewolę.

Szanowna Redakcja wiele razy akcentowała prostą konieczność zrozumienia tego obowiązku. Nie dalej jak w ubiegłym miesiącu, właśnie w "P.W." czytałem wzruszający do głębi opis niebywałej solidarności uczuciowej Polaków w artykule p.t. "Trzeci maj w Stalagu B.," którego autorem jest Kriegsgefangener XXX":

". . . Drogą zbliżał się ku nam pochód. Czwórki za czwórkami, dzieci, kobiet i mężczyzn w cywilnych ubraniach szły wolnym krokiem. Kilkaset osób. A gdy czoło zbliżyło się do drutów i mogliśmy już rozpoznać szkolne mundurki, połatane suknie i ubrania, a potem linię mundurów "feldgrau" zamykającą pochód, nie było już wątpliwości: to Polacy . . ."

"W południe jeden z polskich sanitariuszy przemknął się do nas na chwilę z wiadomością, że transport był cztery dni w drodze, w zaplombowanych bydlęcych wagonach, od dwu dni nic nie jadł i nic tutaj z obozowej kuchni nie dostanie. Są obdarci, bez żadnych bagaży.

—"Zróbcie coś!"

"Zebraliśmy po barakach parę kubłów zupy, którą właśnie na nasz obiad fasowali, trochę menażek i łyżek, chleba i sucharów Czerwonego Krzyża. Ktoś zrobił zbiórkę bielizny i skarpet, na którą poszły wszystkie nasze skarby z takim trudem i ryzykiem ściągane z niemieckich magazynów" . . .

...Tak jest. Tacy bywamy w chwilach wielkiej potrzeby.

Muszę się przyznać Szanownej Redakcji, że od deski do deski przeczytałem jednym tchem wywiad z generałem Kopańskim, łowiąc na odmianę ciekawe szczegóły o naszych "Egipcjanach," a właściwie o naszych . . . "Najprzedniejszych Egipskich." Najbardziej podobał mi się ten moment:

". . . Żołnierze australijscy, których Polacy zmieniali, dziwili się niepomiernie—"Co, macie tylko shorty i te koszulki? A w czym będziecie spali w czasie zimnych nocy?" Wysoki, opalony na bronz z bujną czupryną Australijczyk zwrócił się do swych kolegów: "Hallo boys! Patrzcie, Polacy przyjechali, żeby nas zmienić i nie mają ciepłych spodni do spania." Nie czekając, jaki będzie skutek tej krótkiej przemowy wyjął z plecaka swoje spodnie i podał pierwszemu z brzegu żołnierzowi polskiemu—za nim to samo drugi . . . trzeci i tak cała gromada. Doszło do tego, że wielu Australijczyków, którzy w momencie ładowania mieli ciepłe spodnie na sobie, oddało samorzutnie te spodnie Polakom, a na pokładzie okrętu znaleźli się dosłownie w . . . "niewymownych." Jak mówi Szef Sztabu około 800 par spodni zmieniło właścicieli."

Może dojdzie jeszcze do takiego radosnego momentu w tej wojnie, że Polak w Wielkiej Brytanii ściągnie swoje portki cieplejsze przez głowę i poda z uśmiechem życzliwym innemu "bezportalskiemu" Polakowi. Oby, oby!

Z prawdziwą przyjemnością za pośrednictwem Redakcji gratuluję autorowi, podpisującemu się OR-Si jego wiersza p.t. "Czytając listy rodzin polskich w Rosji":

"Daleko jest z Kirgizstanu
"Do rojnych ulic Londynu,
"Którędy pani radczyni
"Jeździ na targ limuzyną."

Daleko, Kolego, daleko. I dlatego może jeszcze niektórzy nie czują.

I wreszcie samej Szanownej Redakcji winszuję myśli prowadzenia "Poradnika żołnierskiego," który od tak dawna był potrzebny, a napewno okaże się pożyteczny i popularny. Do tego działu poradnictwa mam jedno zapytanie i jedno ogłoszenie:

Pytanie. Dlaczego taka cisza grobowa w prasie polskiej poprzedziła i otoczyła dokładnym kamuflażem koncert Chóru Wojska Polskiego zorganizowany przez Royal Philharmonic Society wykonany przy współudziale Londyńskiej Orkiestry Filharmoniczej? Przecież niewykorzystanie takiego momentu—to typowa "gaffa" propagandowa. Pierwszy raz zdaje się, w dziejach naszego ruchu muzycznego występuje chór polski na zaproszenie Królewskiego Towarzystwa Filharmonicznego, nasz porucznik piechoty w stopniu "conductora" chóralnego pracuje całymi tygodniami nad przygotowaniem koncertu, w końcu bierze pałkę i prowadzi sobie jak gdyby nigdy nic jedną z czołowych orkiestr symfonicznych na świecie, a w prasie polskiej cisza.

Przepraszam: przed tym ogłoszono "drobnym maczkiem" w "Dzienniku Polskim" na dole, w kąciku na ostatniej stronie, że koncert ten odbędzie się o godzinie 8 rano /!/ 3 czerwca, tymczasem koncert odbył się 3 czerwca o godzinie 7 wieczorem, a o 8 wieczór szedł fragment tego koncertu na falach B.B.C.O ósmej rano nic nie było. Może kończono korektę w redakcji "Dziennika Polskiego."

Na koncercie, o którym mowa, wykonany został prolog ze "Strasznego Dworu" Moniuszki. Jak wynika z głosów prasy angielskiej—zarówno Moniuszko, jak i Kołaczkowski z całym chórem oraz solistami: Nowakowskim, Bolesławskim i Skibińskim, zrobili dobrą robotę propagandową. Dowód? Wycinek z "Timesa":

"The orchestral introduction and prologue for male voices with orchestra of Moniuszko's opera was conducted by Lieutenant J. Kołaczkowski, who brought out the instrumental beauties of the introduction, and with his compact body of well-trained singers gave a performance of the Prologue which was genuinely stirring even to an audience ignorant of the opera and of the words sung."

Pytanie pod adresem "Poradnika." Jaka jest rada na polski antitalent propagandowy?

I wreszcie na zakończenie małe ogłoszenie: Chcemy, by żołnierz polski, odwiedzający Edynburg miał jak najprędzej swój własny, żołnierski dom noclegowy. Hotele za drogie są na żołnierską kieszeń, choć tych kieszeni jest w battledressie dużo. Z myślą o takim domu odbędzie się w niedzielę 21 czerwca impreza koncertowa w Usher-Hallu w Edynburgu z udziałem szkockich i polskich sił muzycznych.

Myślę, że Koledzy we własnym dobrze zrozumianym interesie tłumnie wtargną w niedzielę na salę zaopatrując się oczywiście w bilety wstępu u oficerów oświatowych, Kolina lub Pattersona w Edynburgu. Każdy bilet—to pół łóżka, każdy program—to poduszka. Tylko uważajcie, żebyście na koncercie nie zasnęli. Zaczekajcie ze spaniem na dom noclegowy, bo koncert zapowiada się bardzo żywo. A więc do zobaczenia w Usher-Hallu w niedzielę najbliższą o godzinie 3 popołudniu /nie rano!/

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S.—W odpowiedzi na otrzymany list prywatny od Pani Jadwigi Ol. wyjaśniam: Typ pana Goryczki jest świadomie skonstruowaną przeze mnie karykaturą, opartą na rzeczywistej obserwacji kilku postaci. Rzeczą satyry jest operowanie chwytami świadomie jaskrawymi dla podkreślenia celu do jakiego zdąża, oraz do osiągnięcia zamierzonych rezultatów. Nie można pana Goryczki traktować tak dalece realnie jak to Pani czyni, natomiast zgodzić się trzeba na to, że w figurze tej znalazły swój przerysowany, karykaturalny wyraz te wszystkie wady, które są niestety właściwością bardzo wielu rzeczywistych, żyjących wśród nas typów ludzkich. Z listu Pani wynika, że stoi Pani dość daleko od tych ludzi. Źle mnie Pani zrozumiała. Proszę jeszcze raz spojrzeć na Pana Goryczkę, nie jak na portret autentyczny Polaka-emigranta, lecz jak na karykaturę aktualną, a zrozumiemy się napewno. Łączę serdeczne pozdrowienia dla Pani i Małżonka.

Panią Zofię Cz.-ską, która nadesłała list prywatny prosząc o wskazanie adresu lotnika, proszę o podanie pełnego nazwiska oraz dokładnego adresu, gdyż inaczej sprawy nie mogę załatwić.

W.B.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £2,038



Zbiórka w 16-ej Polskiej Szkole Pilotażu, która do tej pory złożyła za pośrednictwem "Polski Walczącej" £295 sh.1 d.11.

UZUPEŁNIAMY PIERWSZĄ OFIARĘ POLAKÓW Z ROSJI DLA POLAKÓW W ROSJI

Oficerowe i szeregowi 7 eskadry lotniczej, przybyli z Rosji, z pierwszego żołdu otrzymanego na ziemi brytyjskiej, zebrali i złożyli na ręce przedstawiciela Czołówki Teatralnej W. P. "Lwowska Fala" kwotę £17 9sh. na pomoc Braciom pozostałym w Rosji.

* * *

Widownia żołnierska w St. Andrews na przedstawieniu "Lwowskiej Fali" podejmując inicjatywę Kolegów, przybyłych z Rosji zebrała kwotę £47 2sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Oficerowie i szeregowi batalionu Brygady Szkolnej w D., obecni na przedstawieniu "Lwowskiej Fali" w dniu 10 czerwca podejmując inicjatywę lotników 7 eskadry przybyłych z Z.S.R.R., składają na pomoc Polakom w Rosji kwotę £34 i sh.11.

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £8.12.0, złożoną przez podoficerów i szeregowców A.C.T.C., II-go transportu przybyłego z Rosji z prośbą o przekazanie do Polsk. Czerw. Krzyża z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Polski Senior Oficer A.C.T.C.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £5 /pięć/ z prośbą o przekazanie do Polsk. Czerw. Krzyża z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

M. B. mjr.-pil.

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na sh.10 jako pomoc dla najbardziej potrzebujących Polaków w Rosji, choć nie jest mi lekko utrzymać się tutaj wraz z żoną ze skromnej gaży sierżanta pil. Jednocześnie wzywam podobnych mi do składania datków w granicach ich możliwości.

Czołem!

Antoni P.T. z żoną Kazimierą

United Service Club, Dublin.
29.5.42.

To the Editor, "Polska Walcząca,"

Dear Sir,

I am instructed by the Committee of the Irish Polish Relief Fund to forward you the enclosed cheque for £11, to be applied to the relief of Polish Civilian Refugees in Russia.

It is hoped to send a further and more substantial cheque in the future.

Yours faithfully,
D. A. MacManus,
Hon. Sec.
Irish-Polish Circle.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam £7 /słownie siedem funtów/ złożone przez uczniów Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Witold Tusiewicz

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £4 /cztery funty/ na pomoc Polakom w Rosji. Suma powyższa zebrana została z biletów na przedstawieniu Teatru Polowego I Br. i stanowi 50% zysku przeznaczonego dla Centrum.

Oficer Oświatowy Centrum Wyszkolenia Broni Panc. i Mot.

* * *

Za serdeczne przyjęcie jakiego doznałem u Mr. i Mrs. Brooking w czasie mego pobytu w Londynie, składam £3.0.0 na pomoc dla Polaków w Rosji.

I send you £3.0.0 for the Poles in Russia Fund, and I want to tell my thanks to Mr. and Mrs. Brooking for the kindness they showed me during my visit in London.

Kazimierz Deptuła

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam na ręce p. Wiktora Budzyńskiego sh.5 i proszę o przekazanie ich na Pomoc Polakom w Rosji.

Czytając artykuł "Bez black-outu" oceniłem, iż rzeczywiście 1% opodatkowania się jest niewielkim uszczerbkiem, ale gdyby tylko cała tut. armia się tak nisko opodatkowała byłoby naszym przyjemniej, iż wszyscy o nich myślimy, a nie tylko wyjątki.

Jako szeregowiec mogę przesyłać miesięcznie sh.10 bez najmniejszego uszczerbku osobistego.

Każdego 1-go nast. miesiąca prześlę tę kwotę.

X.Y.

* * *

Przesyłam Postal Order na kwotę sh.2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

W.H. P/75

* * *

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na sumę £1 sh.4 d.6 złożoną przez oficerów zamiast pożegnania odchodzących Kolegów z przeznaczeniem na "Polaków w Rosji."

Z poważaniem

S.Z. ppor.

* * *

—Absolwenci VI kursu Szkoły Podchorążych Sanitarnych Rezerwy przekazują na rzecz Polaków w Rosji sumę £1 sh.6 uzyskaną jako nadwyżkę wpływów po opłaceniu poniesionych kosztów, w związku z wydaną przez nich "Jednodniówką."—

Łączę wyrazy poważania

Dr. R.M. por. lek.

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam £1 na pomoc dla Polaków w Rosji. Proszę o potwierdzenie odbioru w ogłoszeniach.

"W.G. z S."

* * *

Ponadto przekazał na ten cel £3. sh.10 p. Z. Borysowicz /nieprzyjęte honorarium za rysunki wydrukowane w "Polsce Walczącej"/.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £145 sh.11 d.6 /słownie sto czterdzieści pięć funtów, jedenaście szylingów, sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,038.11.1 /słownie dwa tysiące trzydzieści osiem funtów, jedenaście szylingów, jeden pens/ i 108 pesetów.

Z życia obozów

"Ciapcia" — maskotka okrętowa

Ciapcię przyniósł nam z lądu Dowódca. A znalazł ją w wodzie. Tak, w wodzie. Szedł przez dock-yard i usłyszał, że coś się w wodzie rusza i skomli błagalnie. A noc była ciemna i tylko białe smugi reflektorów krzyżowały się w białej mgle angielskiej. Więc Dowódca zsunął się do basenu, stanął na tratwie i wyciągnął z zaropiałej wody małego, piszczącego psiaka. Tak się Ciapcia narodziła. Morze nam ją dało za Dowódcy pośrednictwem.

Po przybyciu na okręt Dowódca oddał szczeniaka w nasze ręce. Pies był cały w ropie. Z trudem otwierał czarne ślipka, trząsł się z zimna a jeden z marynarzy stwierdził, że szczeniak znosił wszystko z chorobliwą obojętnością. Po kąpieli został napojony mlekiem konserwowym. Ułożyliśmy go w kabinie of. mechanika, który ofiarował nawet swój ręcznik mówiąc: Niech mu tam będzie, grunt żeby wyżył i koniec.

Ciapcia spała mocnym krzepiącym snem, a doktor, który wrócił z lądu po przechadzce "antropologicznej"/doktór wychodząc oznajmia zawsze, że się udaje na ląd w celu pogłębiania studiów antropologicznych/orzekł, że będzie żyła. Radość była powszechna. Of. artylerii z torpedystą zaintonowali ulubioną piosenkę, zaczynającą się od słów: "Ojca powiesił niby kapelusz." . . Zastępca spojrzał zgorszony, wyjął papierosa i stuknąwszy trzykrotnie papierosem o papierośnicę, zapytał: A jaki numer okrętowy wyfasować nowemu członkowi załogi? i jak go nazwiemy? To taki Ciapek—powiedział Ojciec. No to niech będzie Ciapek, zgodzili się wszyscy. Co to za rasa panie doktorze? Doktór nie tylko zna się znakomicie na antropologii ludzi, ale jest również znawcą psiego rodu.—To . . . to taki kundel, taki, że aż strach. Ma w sobie niewątpliwie trochę krwi terriera, ale w ogóle mieszaniec taki, że trudno powiedzieć z kim się jego prababka puściła.

Ciapek tymczasem spał mocno i tylko czasami popiskiwał przez sen,

—Ann ma towarzysza—zauważył Dowódca schodząc do naszej mesy.

Ann to pies Dowódcy. Śliczna, rasowa suka—Irish seter.

—Ann jest arystokratka. Co to za śliczny pies, to pojęcie ludzkie przechodzi.—Zachwycał się Doktor.—Tylko jak ona podrośnie, to jej ciężko będzie na pokładzie wyżywać się. To pies stworzony do polowań.

—Ann ma zaledwie miesiąc. Ciapek też niewięcej.—Pan Michał zaczął snuć przypuszczenia, że jeżeli to jest pies, a Ann suka, to jak podrosną . . .—On by to chciał napewno—przerwał Kubuś, który lubi zawsze "kropki nad i" stawiać—tylko czy ona, taka rasowa . . . z kundlem?—To nic nie szkodzi—zabrał głos mechanik—u nas w kraju, arystokratki bardzo chętnie szukały przygód w niższych sferach, w celu zaznania niezwykłych wrażeń. Ann może też . . . nic jeszcze straconego. Pamiętam miałem jamnika, rasowy był szczeniak i kochał się zawsze w wielkich, tego . . . tak, w wielkich psach i koniec. Nigdy niewiadomo jak to jest z miłością.

Ciapek spał całą noc nie wyłażąc z ręcznika. Rano wstał, wyciągnął się radośnie i od razu zaczął węszyć za jedzeniem. Nos miał zimny i wilgotny. Świtalski zajął się psem energicznie. Nakarmił go, a potem starał się zapoznać z rozkładem ubikacji. Ciapek chodził za swym przewodnikiem, ale po oglądnięciu wszystkiego, zaszedł do kabiny Zastępcy i . . . spokojnie załatwił swoje potrzeby fizjologiczne.

—Dobry znak Panie Kapitanie—z szelmowską miną oznajmił Szabuński.

—Dlaczego, co się stało?—zapytał Zastępca nie przeczuwając niczego. — Nic wielkiego, ale Ciapek . . . tu właśnie.—Niech on tylko jeszcze raz coś podobnego zrobi, dostanie przy raporcie 14 dni zakazu, łobuz jeden.

W czasie zajęć Ciapek poznawał okręt, obwąchując wszystkie kąty. Na rufie spotkał się z Ann, która poczuła do niego gwałtowną miłość, objawiającą się w dzikiej zabawie przewracania Ciapka i delikatnym gryzieniem go w ogon.

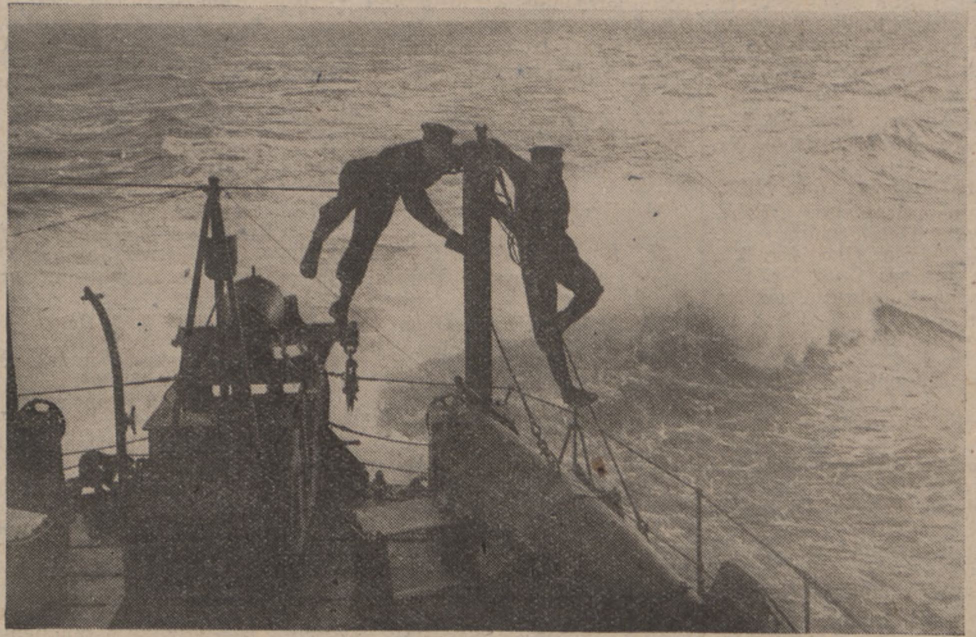
Wieczorem, jak zwykle, siedzieliśmy w mesie i gadaliśmy. Oczywiście Ciapek był na pierwszym miejscu.

—Ciekaw jestem, jak się będzie zachowywał na morzu?—Będzie żygał jak kot.—No, niewiadomo. Pamiętam mieliśmy na "Burzy" kotkę, która urodziła na okręcie kociaki. Szczeniaki były rozkoszne i wcale na fali nie chorowały.

Największą dyskusję wywołało pytanie, rzucone nieśmiało przez Kubusia:—A czy aby napewno "on" może to jest ona?—Ale, co też głupstwa gadasz, oburzyłem się szczerze, przecie Świtalski go kąpał.—Tak, ale on jakoś nie po psiemu . . . tego . . .

—Czekaj, zaraz się dowiemy. Świtalski czy widzieliście, jak on. . . Tak jest, panie poruczniku. —No więc?—No, właściwie to nie tak jak pies, ale to dlatego, że on jest bardzo malutki jeszcze, i ma bardzo malutkie. . . —No widzisz—rzuciłem z triumfem do Kubusia.—Nic nie widzę. Doktór musi tę sprawę wyjaśnić.

Po przyjściu doktora, chodziłem mocno zgaszony, bo Ciapek okazał się być Ciapcią. A of. art. powiedział:—Widzi pan, mała rzecz a wstyd. Toż pan wcale anatomii ciała nie zna.



Reperacja na rufie przy pełnej szybkości

Więc Ciapek jest Ciapcią. Początkowo załoga nadała mu imię trochę nieprzyzwoite, chociaż typowo polskie, z końcówką . . . buś. Więc w jednym rozkazie był punkt 4: Imię psa. Zabraniam z dniem dzisiejszym psa nazywać . . . . busiem. Pies ma na imię Ciapcia.

Ciapcia nie lubi przebywać na morzu. Wyraźnie woli postój na kotwicy, albo przy molo. Na morzu jest smutna i zaniepokojona. Może w ten sposób objawia się u niej choroba morska.

Oba nasze biedne psy przeżyły kiedyś prawdziwą tragedię. Zaczęło się od tego, że barometr zleciał, co specjalnie nie jest dobrą oznaką. Potem przyszły chmury, potem morze się zmarszczyło, zaczęły szkwaliki przychodzić, wiatr się wzmagał, fala rosła, aż się rozpętało.

Psy siedziały w mesie i bawiły się jak zwykle, gryząc się "na niby." Okręt zaczął się mocniej kiwać. W rezultacie krzesła zaczęły jeździć. Po godzinie przechyły były tak duże, że nieumocowane rzeczy zaczęły latać po pomieszczeniu. Biedne psiaki zamknięte w mesie, stały się ofiarami bezustannego bombardowania przez krzesła i stoliki. Ciapcia wlazła na duży klubowy fotel, stojący w rogu mesy i stamtąd spoglądała na dzikie podskoki Ann, uciekającej przed krzesłami. Nad fotelem wisiał umocowany odbiornik radiowy, który w momencie wielkiego przechyłu oderwał się od ściany i spadł na Ciapcię.

Tego już psica miała dość. Rozbeczała się na dobre. Mało, że to kiwa potwornie, to jeszcze coś na głowę leci. Żałosny płacz Ciapci usłyszał doktor, który zabrał oba psy do kabiny dowódcy. I tam doktor i oba psiaki, przeżyli dwie koszmarne noce, suwając się po podłodze, obijając się o ściany, kanapę i biurko. I może dlatego Ciapcia jest smutna, gdy usłyszy dźwięki klaksonu oznajmiającego odkotwiczenie.

Ciapcia nie boi się wody. Największą jej przyjemnością jest jeżdżenie w motorówce. Gdy tylko usłyszy charakterystyczny terkot motoru, Ciapcia szaleje z radości. Biega z rufy na śródokręcie, merda ogonem, szczeka i prosi oczami. Weźcie mnie do motorówki, ja tak strasznie lubię patrzeć jak woda z pod niej ucieka. Sternik zabiera ją do motorówki. Ciapcia z podniesionym ogonem staje na rufie i szczeka na pryskającą z pod rufy wodę. Zabawa nadzwyczajna i Ciapcia jest zachwycona, szczególnie wtedy, gdy sternikiem jest Plumpek a motorzystą bosmat Cholowaczyk.

A propos ogon. Ciapcia ma czarny ogon z białym zakończeniem. Wygląda to niesłychanie ciekawie.

Ciapcia bierze czynny udział we wszystkich przejawach życia okrętowego. Ma swoje miejsce na lewym skrzydle oddziału. Kiedyś mieliśmy dostojnego gościa na pokładzie, w osobie Naczelnego Wodza. Ciapcia została zamknięta w pomieszczeniu marynarskim, aby broń Boże nie zrobiła jakiejś gaffy w poważnym ceremoniale okrętowym. Ciapcia wyraźnie czuła się dotknięta tym uwięzieniem. Ale wkrótce korzystając z sytuacji, że ktoś wpadł na chwilkę do pomieszczenia, wyskoczyła na pokład.

Gdy Wódz Naczelny opuszczał okręt, Ciapcia odprowadzała go idąc z całą powagą w świcie generalskiej. Zastępca dojrzał ją dopiero wtedy, gdy Wódz Naczelny zapytał:—Czy to wasza maskotka okrętowa? — Zastępca spojrzał surowo na Ciapcię: Wylazłaś jednak.—Ciapcia machała ogonem i przyjaźnie patrzyła na Naczelnego Wodza, zdradzając wyraźnie zamiar zabawienia się w "napad na buty".

To jest druga ulubiona zabawa Ciapci polegająca na tym, że rzuca się z furią na buty, starając się rozerwać je na drobne kawałeczki. Oficer wachtowy zbladł. Zastępca uśmiechał się niepewnie i pomyślał: Tak wszystko ładnie się odbyło, a ona tu spodnie Dostojnemu Gościowi rozedrze. Oficer wachtowy rozumował ze strachem: Ja tu zagwiżdżę—baczność lewa burta, a ona zacznie szczekać. Gaffa jakiej jeszcze świat nie widział.—Ciapcia tymczasem machała ogonem i zdawała się mówić: zaszczekam i porwę spodnie.

Baczność—lewo front. Cały okręt zamarł w bezruchu. Świst trapowy kończy się już właśnie. Cisza była jak makiem zasiał. Oficer wachtowy spojrzał na Ciapcię. Stała w pozycji wyczekiwania, a gdy Szef Kierownictwa opuścił okręt, weszła na trap i zeszła na molo. Pies nie zaszczekał, gaffy nie było, Ciapcia się nie skompromitowała.

Ann opuściła okręt, już parę miesięcy temu. "Ona już jest za duża, panie Kapitanie, co innego Ciapcia, ta jest stworzona na okręt." I piękna Ann wyjechała. Ciapcia wydawała się być zupełnie szczęśliwa z tego powodu. Bo jednak zazdrościła Ann trochę. Bo gdy obie suczki znajdywały się w mesie i Ann nazywano ślicznym, rasowym psem, Ciapcia rozumiała doskonale, że ona jest zwykłym kundlem o długiej rufie, jak to Kubuś określił, i koślawych nóżkach. Ale dla nas Ciapcia nie jest zwykłym psem, którego się lubi, lub do którego się przyzwyczaiło. Ciapcię dało nam morze, a my, jego ludzie wierzymy w rozmaite przesądy.

JERZY TUMANISZWILI

Wieczór na morzu i wieczór w porcie

Z dnia na dzień okręt nabiera prawdziwego "morskiego" wyglądu. Na miejscu zmytej farby na burtach i pokładzie tworzą się długie, biało-brunatne smugi z rdzy i soli. Na kominie, nadbudówkach i działach wiatr-artysta wymalował pyłem wodnym czarodziejskie wzory, ornamenty z liści i kwiatów—kwiatów morskich, najrzadszych na świecie.

Na dziobie co chwila wytryska fontanna. Masy wody wyskakują na wysokość pomostu, zalewają działo I, zrywają maty, gną relingi, padają słonym deszczem na cały okręt.

Za burtą wyrasta góra—spieniona góra wodna. Zbliża się, szumi, kotłuje, za chwilę przewali się przez pokład. Nagle płaszczy się, maleje gwałtownie, liże burtę końcem oślinionego języka, przechodzi, niknie.

Inna, malutka, rośnie nagle, wpada na pokład, zalewa torpedy, działa, miny. Okręt przewala się na burty, wyskakuje dziobem pod niebo, wali się w dół, w wzburzoną, rozszalałą otchłań. Tańczy jakiś szalony, dziki taniec—taniec wiosennego sztormu.

Tańczy, chociaż to dzisiaj Wielki Piątek, tańczył, grzesznik zatwardziały, w samą Świętą Noc Bożego Narodzenia. Nie robi sobie nic z obyczajów spokojnych ludzi. A oni, chociaż ich tak męczy, czyszczą go, szorują, leczą skomplikowany organizm jak najlepsi lekarze i czekają: kiedy ich zawiezie do Gdyni?

Nadchodzi noc i okrywa konwój gęstą nieprzeniknioną ciemnością. Barometr spada.

* * *

Gazety rozrzucone są po całym pomieszczeniu marynarskim. Rozchwytywane, drą się na części i cząsteczki. Na hamakarni siedzi Morus nadąsany i zły.

Jest wieczór. Okręt od dwóch dni stoi na redzie. Burta wolna—na lądzie, na przepustce. Burta służbowa została—i czyta. Czyta gazety, których przez miesiąc uzbierał się cały stos. Godzinę temu przyszły z pocztą.

—To dziwne—mówi Morus—jak trudno nam jest zrozumieć tych ludzi—i potrząsa całą pliką gazet.

—Jakieś spory na tematy całkiem nierealne, wiersze niby ładne, ale tak uczuciowe, że nie wzruszające, ale . . . dziwne.

My patrzymy na to ze swojego specjalnego punktu widzenia. Gdy pewne fakty są w stadium stawania się, my jesteśmy odcięci od świata i często nie możemy nawet słuchać radia. A później jesteśmy zaskoczeni.

Wiemy, że jest wojna, bo atakują nas samoloty i okręty podwodne. Wiemy, że walczymy o ziemię, którą nam odebrano, o rodziny, które w Polsce cierpią.

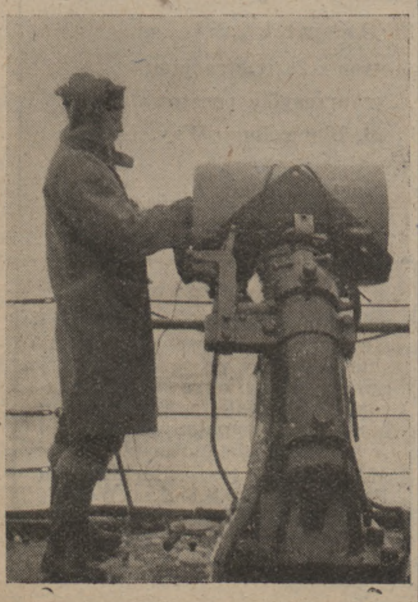
Wiemy, że walczymy o Człowieka, a nie wiemy, czy walczymy z człowiekiem. Nie wiemy, czy uratuje nas wróg, gdy będziemy tonąć—my rozbitków ratujemy zawsze. Ciężko pracując zapominamy o tym, że panoszyły się w Polsce epidemie chorób nerwowych, czy umysłowych: biurokracji, protekcji, że panował kult Frazesu i Banału. Nie wierzymy, by mógł je kto przeszczepić tutaj, do Anglii.

A wreszcie cóż nas obchodzi, kto dla kogo wydał przyjęcie, kto oburzony wyszedł i kto zaprotestował przeciw wnioskowi o rezolucję. Dziwi nas, że ludzie mogą udzielać rad nawet zza Atlantyku, że bojownikami demokracji są dawni rycerze Radosnej Kliki . . . a czytając to wszystko—można pomyśleć na serio, że . . . Polak Polakowi wrogiem.

Ale, powtarzam, może reagujemy na to wszystko za ostro, może to skutek naszych warunków życia, naszej innej moralności, omalże nie innego sposobu myślenia. Sumienia mamy—czyste. Wierzymy w Polskę demokratyczną. Czasami jednak, w takich może jak ta, chwilach, kiełkuje w nas ziarno niepokoju: a może po powrocie, po wymarzonym powrocie do Polski, powiedzą nam: "Prima Aprilis, skończyła się demokracja, tu jest Polska, nie Anglia!" W takim wypadku nie ręczę za siebie.—

Morus umilkł zagłuszony piekielną wrzawą. W ogniu dyskusji wiele gazet spaliło się ze wstydu.

JÓZEF MIŁOBĘDZKI



Wyrzutnia bomb głębinowych



Przy sterze

Adresy rodzin wojskowych w Z.S.R.R.

Ogłaszamy piątą listę adresów przekazanych przez Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych. Por. poprzednie listy w nr. 9, 16, 17 i 18 "Polski Walczącej" z b.r.

WYKAZ No. 20.

/Data wysłania z Kujbyszewa do Londynu wiadomości o miejscu pobytu poszczególnych rodzin podana jest przy każdym adresie./

1/ **Błażewicz** Władysław mjr: Ałtajskij kraj, Biijsk, Fomczenki 23 /15.4.42/.

2/ **Bogacz** Zofia z domu Bezucha: Nowosybirskaja obłast Kargasowskij rajon, poczta Padelnik, posiołok Stepanowka /1.5.42/.

3/ **Boral** Stanisław: Uzbek, Urgencz, Khorezmskaja 32 /8.5.42/—/zawiadamia pułk. Kruk-Szustera/.

4/ **Burda** Ewa: Fergana, Polish Deputy /13.5.42/.

5/ **Bylański** Władysław z rodziną: Jużnokazachstan Turkiestan Sadowaja 9 /8.5.42/—/zawiadamia kpt. Szarski Andrzeja/.

6/ **Dwulitowa** Anna: Aktiubinskaja obłast, Martuk rajon Andrejewskij posiołek /4.5.42/.

7/ **Falkowska** Barbara z córką Urszulą: Buchara Transportnyj Piereułek /nr. 9/ /1.5.42/.

8/ **Gelibter** Regina i 2 synów: Uzbekstan Samarkand /28.4.42/ poszukuje syna Adolfa.

9/ **Głowacka** Halina, żona ppłk. Franciszka Jerzego z 48 p.p.: Bucharskaja obłast stancja Kitab. /28.4.42/.

10/ **Gniadek** Anna: Aktiubinskaja obłast rajon Dżurun stancja Embas posiołok 68 Nowaja Żyźn /22.5.42/.

11/ **Grygier** Eleonora: Akmolinsk —poszukuje brata podch. Artura Leopolda /28.4.42/.

12/ **Horenzga** Józefa żona, Siemipałatinskaja Obłast Kokpiektinskij rajon Bolszaja Bukon Horenzga Józef urodzony w roku 1907 w Szyszkowcach powiat Borszczów /4.5.42/.

13/ **Jagielska** Katarzyna z domu Wołoszyn-Fiedler: Kustanajskaja Obłast Priesnogorkowka Kalinina 4 /1.5.42/.

14/ **Jakubowicz** Maria: Jangijuł Taszkentskaja W. Pol. /8.5.42/.

15/ **Jedlińska** Wacława: Kustanajskaja Obłast Miendygarinskij rajon Sosny /zawiadamia lotnika Franciszka/ /8.5.42/.

16/ **Kalitówna** Maria: Aktiubinskaja Obłast, Noworossijskij rajon, poczta Matwiejewka Kołchoz Oktiabr /25.4.42/.

17/ **Karnecka** Janina: Siemipałatinsk Zana-Siemiej Zeleznodoroznaja 49 /13.5.42/.

18/ żona oficera nazwiskiem **Karol Michał**: Aktiubinsk /poszukuje męża, który był w roku 1941 w Szwajcarii /29.4.42/.

19/ **Kołodyńska** Stanisława, żona Henryka z córką Krystyną: Kustanajskaja Obłast Siemioziornyj rajon posiołok Siemiozienka ul. Proletarskaja nr. 97 /1.5.42/.

20/ **Krafutreblueth** Maria: Bucharskaja Obłast, Guzar Box 215 /8.5.42/—/zawiadamia Shwetlich Ferdynanda/.

21/ **Krajewska** Karolina: Siemipałatinskaja Obłast Ajaguz /25.4.42/.

22/ **Krzyworączka** Izabela: Siemipałatinsk, Biel Agaczewskaja 5 /4.5.42/.

23/ **Lambert** Tadeusz: Archangielskaja Obłast, Solwyczegodskij rajon Charitonowo /8.5.42/.

24/ **Leszczyńska** Jadwiga z domu Rewucka: Siemipałatinskaja Urdżar Furmanowa 15 /1.5.42/.

25/ **Liebhart** Władysław i Stanisław zawiadamiają Kazimierza Ziutelskiego /8.5.42/.

26/ **Lubieńska** Maria: Kustanaj, Oktiabrskaja 78 /13.5.42/.

27/ **Maniszewska** Małgorzata córka kpt. Aleksandra oraz **Pisarikowa** Maria: Buchara Szachriziab Po Box 210 /24.4.42/.

28/ **Malcharek** Małgorzata: Kustanajskaja Obłast, Ordżonikidzewskij rajon, poczta Georgiewka /13.5.42/.

29/ **Mirzyńska** Stefania, ciotka ppor. Kochanowskiego Jerzego: Siemipałatinsk Stepnaja 47 /17.4.42/.

30/ **Mossor** Anna, **Mossor** Maria: Siemipałatinskaja Obłast Zarminskij rajon Georgejewka Kołchoz Czerwonaja Dolina /21.4.42/.

31/ **Pflancer** Stanisława: Shahriziabs, Bucharskaja Obłast, Box 210, zawiadamia Seinfelda Jana /8.5.42/.

32/ **Pilichowska** Stanisława z dziećmi Aldoną i Rudolfem mieszka: Siemipałatinsk, Gorkogo 19 /13.5.42/.

33/ **Pistol** Maria: Aktiubinskaja Obłast, stancja Dżuruń, Kołchoz Proletarji, Orenburskaja Kolej dział /part/ 12 /12.5.42/.

34/ **Plezia** Eugenia: Kustanajskaja Obłast, Fedorowskij rajon, Noworoszumnoje posiołek Staroszumnoje /13.5.42/.

35/ **Rachwał** Maria: Kustanajskaja Obłast, Szyszkowka, 116 Kozzawod /9.5.42/.

36/ **Rokicka** Helena: Siewiero Kazachstanskaja Obłast, Leninskij rajon, Tarangulskij Miasosowchoz 303 /13.5.42/.

37/ **Runiewicz** Józef, ojciec ppor. Mariana Emanuela: Omskaja Obłast, Bajkalawskij rajon, poczta Tachtair /17.4.42/.

38/ **Seinfeld** Antonina: Shahriziabs, Bucharskaja Obłast, Box 210, zawiadamia Seinfelda Jana /8.5.42/.

39/ **Skowrońska**, żona majora Stanisława: Siemipałatinsk, Krasnoarmiejskaja 46 /28.4.42/.

40/ **Skwierczyńska** Amelia: Akmolinskaja Obłast, Makinka, Niekrasowa 36 /8.5.42/.

41/ **Strzępka** Helena z córkami Anną i Jadwigą: Kustanajskaja Obłast, Fedorowskij rajon, Czachowka, poczta Bannowka /24.4.42/.

42/ **Świszczewska** Maria: Siemipałatinsk, Zaton 87 Pawłodarskaja /poszukuje syna kapr. Samoruk Tadeusza/ /29.4.42/.

43/ **Szarek** Mieczysław i **Szarek** Stanisława z domu Tarasek: Kustanajskaja Obłast Użunkulskij rajon, Jerszowka /1.5.42/.

44/ **Tabaczyńska** Łucja z domu Ciesielska, żona por. Jana: Siemipałatinskaja Obłast, Ajaguz, Kwartał VI numer 83 /15.4.42/.

45/ **Treszka** Adam: Polish Representative Kagan Bucharskaja /poszukuje podch. Treszki dawny adres 260/57/ /8.5.42/.

46/ **Ungar** Maria z domu Kytler: Siemipałatynsk, poczta Zaton, Swinbaza Komu 25 /1.5.42/.

47/ **Vincenz** Eugenia, żona Kazimierza: Kustanajskaja Obłast, Fedorowskij rajon, posiołek Andrejewka, Kołchoz Borec /1.5.42/.

48/ **Wątek** Wanda: Kustanajskaja Obłast, Szyszkowka 116 Kożżawod /9.5.42/.

49/ **Węglarz** Anna żona Ludwika ze Lwowa Siemipałatinskaja Obłast, stancja Bielagacz sieło Borodulicha, 43, Krupskoj /11.4.42/.

50/ **Woelpler** Maria: Kustanajskaja Obłast Zatobolski rajon Siegiejewka poszukuje brata, pilota, syn Antoniego /13.5.42/.

51/ **Wołek** Teodor: Kustanaj, Taszkenckaja 73 /21.4.42/.

52/ **Wołoszanowska** Maria z domu Drążewska, żona porucznika Floriana: Siemipałatińsk, Uricko 37 /21.3.42/.

53/ **Wójcicka** Teodora, matka ppor. pilota Kazimierza—Siemipałatinskaja Obłast Nowoszulbinskij rajon, Swinosowchoz Aria Krasnyj Kasakstan Uczastock 1 /17.4.42/.

54/ **Wyszatycka** Katarzyna, Aktiubinsk, ul. Nabieraznaja 52 /13.5.42/.

55/ **Zalewska** Janina, Siewiero Kazachstanskaja Presnowskij rajon Pietrowka /8.5.42/.

56/ **Zdrochecka** Danuta Bucharskaja Obłast Kermine Wojsko Polskie /13.5.42/.

Adresy Polaków w Persji

Pierwsza lista osób przybyłych do Teheranu, które zgłosiły się telegraficznie do P.C.K. w Londynie.

1/ **Skąpska** Irena: Obóz Nr. 2.

2/ **Rączka** Jadwiga: Obóz Nr. 2.

3/ **Drwęski** Antoni: Obóz Nr. 4.

4/ **Ehrenberg** Tadeusz: Obóz Nr. 2.

5/ **Landfisch** Mojżesz: Obóz Nr. 2.

6/ **Scazighino** Stanisław: Teheran, rue Lalezar Hotel Sadib.

7/ **Gaździk** Teofila: Obóz Nr. 2.

8/ **Salicka** Janina: Obóz Nr. 2.

9/ **Chabowska** Jadwiga: Obóz Nr. 2.

10/ **Bobrowski** Rajmund, kanonier: Obóz Nr. 4.

11/ **Kędzior** Eugeniusz: Obóz Nr. 2.

12/ **Karkocha** Antonina: Obóz Nr. 2.

13/ **Krechowska** Helena: Obóz Nr. 4.

14/ **Kodrębska** Helena: Obóz Nr. 2.

15/ **Burnagel** Bronisława: Obóz Nr. 4.

16/ **Tomaszkowa** Zofia: Obóz Nr. 2.

17/ **Jaskowska** Irena: Obóz Nr. 2.

18/ **Dunin-Horkowicz** Bohdan, strzel. z cenz.: Obóz Nr. 4.

19/ **Pawłowicz** Anna: Obóz Nr. 2.

20/ **Szrajer** Stefania: Obóz Nr. 4.

21/ **Kuczera** Irena: Obóz Nr. 2.

22/ **Lipińska** Gabryela: Obóz Nr. 2.

23/ **Frankiewicz** Anna: Obóz Nr. 1.

24/ **Otwinowska** Jadwiga: Obóz Nr. 1.

25/ **Sawicz-Zabłocka** Olga: Obóz Nr. 1.

26/ **Czyrkowa** Stanisława: Obóz Nr. 1.

27/ **Narzymska** Helena: Obóz Nr. 2.

28/ **Hlawaty** Aleksandra: Obóz Nr. 2.

29/ **Grzymalska** Florentyna: Obóz Nr. 2.

30/ **Graff** Irena: Szpital Cywilny.

31/ **Andrzejewska** Halina: Obóz Nr. 2.

32/ **Żejma** Helena: ul. Lalezar Hotel Nouv Teheran.

33/ **Sochaczewski** Janusz: Obóz Nr. 2.

34/ **Greiner** Wawrzyna: Obóz Nr. 2.

35/ **Borkowska** Ewa: Obóz Nr. 4.

36/ **Konarzewska** Emilia: Obóz Nr. 2.

37/ **Żelisko** Maria: Obóz Nr. 2.

38/ **Cieszyńska** Janina: Obóz Nr. 2.

39/ **Gazdowski** Henryk.

40/ **Pawłowicz** Wanda: Obóz Nr. 2.

POSZUKIWANIA z Teheranu rodzin na terenie W. Brytanii. /w nawiasie nazwisko osoby poszukiwanej/

Gaździk Teofila: /mąż Gaździk Jan/.

Altheim Edward strzel.: Obóz Nr. 4 /ojciec Altheim Karol/.

Reh Teofila: Obóz Nr. 2 /Reh Norberta/.

Zarembina Jadwiga: Obóz Nr. 2 /Mintowt-Czyż Jan por. lotn./.

Maciejko Stanisława: Obóz Nr. 2 /brat Brojak Józef kapr. rez./

Konarzewska Emilia: Obóz Nr. 2 /Konarzewski Władysław ppor./.

Wojno Maria: Obóz Nr. 2 /syn Wojno Bronisław por. lotn./.

Stoszko Mieczysław ppor.: Obóz Nr. 4 /brat Stoszko Franciszek inż. i sierż. Sanakiewicz Stanisław/.

Gendek Andrzej sierż.: Obóz Nr. 4 /syn Gendek Tadeusz/.

Saczyńska Anita: Obóz Nr. 2 /mąż Saczyński Mieczysław rtm./.

Kopeć Aniela: Szpital przy Obozie Nr. 1 /Kopeć Feliks/.

Kondziela Jadwiga: Obóz Nr. 1 /brat Lipnicki Stanisław/.

Młodzińska Wanda: Obóz Nr. 1 /mąż Leon st. strzel./.

Sadowska Janina: Obóz Nr. 2 /syn Bolesław/.

Romaniak Maria: Obóz Nr. 2 /syn Józef kpr./.

Żółtowska Maria: Obóz Nr. 2 nauczyc. /mąż Stefan kpt./.

Kuczera Irena: Obóz Nr. 2 /syn Kazimierz podchor./.

Górniewicz Janina: Obóz Nr. 2 /Kędzior Aleksander gen. i Bajan Jerzy/.

Gniewiewska Wanda: Obóz Nr. 2 /Szajnowski płk./.

Majewska Wanda: Obóz Nr. 4 /Pallul zygmunt/.

Urbańska Franciszka: Obóz Nr. 2 /syn Bronisław/.

Lubczyńska Danuta: Obóz Nr. 2 /Kiper Jan por./.

Rolewski Kazimierz kapr.: Obóz Nr. 4 /Bryś Teodor por. inż. Rolewski Franciszek por., Haluza Zbigniew por. inż./.

Michorecka Eugenia: Obóz Nr. 2 /mąż Józef kpt./.

Rodziny przebywające w Teheranie poszukują wymienionych:

Gotboud Kazimierza mjr.
Matuszewskiego Feliksa mjr.
Skibińskiego Ludwika mjr.
Kasprzyka Witolda kpt.
Rejcharda Stefana kpt.
Robaka Józefa kpt.
Pietraszkiewicza Stanisława kpt.
Janczyszyna Włodzimierza kpt.
Węgorka Zygmunta kpt.
Gołębiowskiego rtm.
Saczyńskiego Mieczysława rtm.
Klima Romualda por.
Rafińskiego Karola por.
Dmitrowa Wiktora por.
Szmidta Adolfa por.
Żyziewskiego Aleksandra bosmana.
Ubikmanowicza Romana kpt.

Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Polskich Sił Zbrojnych

W ostatnim czasie powstało w Londynie Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Polskich Sił Zbrojnych.

Celem Stowarzyszenia jest prowadzenie badań nad przeszłością Polskich Sił Zbrojnych w dziedzinie dat, muzeologii i pomoc przy zbieraniu zabytków wojskowych, ze specjalnym uwzględnieniem obecnej wojny.

Ponadto Stowarzyszenie postawiło sobie jako jedno z zadań, ścisłą współpracę z istniejącym przy Archiwum Sił Zbrojnych—Referatem Muzealnym.

Zbędne byłoby podkreślać wagę tej inicjatywy i jej znaczenie w późniejszych badaniach historycznych, zwłaszcza, gdy uświadomimy sobie ogrom zniszczenia w tej dziedzinie na ziemiach polskich, gdzie Niemcy systematycznie niszczą i rabują wszelkie zabytki i pomniki polskiej kultury i przeszłości.

Inicjatywa ta zasługuje ze wszech miar na poparcie, to też przypuszczać należy, że w krótkim czasie zapełnią się szeregi Stowarzyszenia.

Dodać należy, że w Polsce już istniało stowarzyszenie o analogicznych celach, które od r. 1934 do 1939 wydawało własny miesięcznik p.t. "Broń i Barwa" i co miesiąc organizowało fachowe odczyty w gmachu Muzeum Wojska.

W myśl statutu, członkiem Stowarzyszenia może być każda osoba wojskowa lub cywilna, niekarana za czyny hańbiące, która złoży deklarację o przystąpieniu do Stowarzyszenia i która płacić będzie ustalone składki.

Składka ustalona została w wysokości 1 sh. miesięcznie, zaś deklarację o przystąpieniu do Stowarzyszenia nadsyłać można pod adresem: Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Polskich Sił Zbrojnych, Buckingham Palace Road, "Rubens Hotel," London, S.W.1.

Zarząd Stowarzyszenia zwraca się przy tej okazji z gorącym apelem do wszystkich posiadających jakiekolwiek pamiątki związane z tworzeniem, walkami i życiem Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, o nadsyłanie ich bądź w charakterze darów, bądź depozytów, do Archiwum Sił Zbrojnych.

POSZUKIWANIA

WIŁKOJĆ WACŁAW, przybyły z Rosji poszukuje brata WIŁKOJCIA WŁADYSŁAWA oraz kpr. WIŁKOJCIA JÓZEFA. Posiada wiadomości od rodziny. Wiadomość, Polish Forces, P/17.

Por. OLESZKO MARIANA-poszukuje PAŹ ZBIGNIEW, przybyły z Rosji. Wiadomość proszę skierować na adres: Ludwik Bojczuk Polish Forces P/66.

WŁADYSŁAW i JAN DWORECKI poszukiwani są przez panią F. Akerman /Kensington Lodge, Weybridge, 48, St. Mary Road/

Admiralicja Brytyjska poszukuje fotografii o charakterze informacyjno-topograficznym, t.j. przedstawiających: porty, mola, i inne nadbrzeżne budowle, mosty, koleje, drogi, elektrownie i gazownie, szyby naftowe, kanały oraz wszelkie naturalne przeszkody terenowe w krajach Kontynentu. Fotografie winne być zaopatrzone datą i szczegółowym napisem i przedstawiać obecny stan danego punktu. Fotografie obiektów, których wygląd został zmieniony, nie mogą być brane pod uwagę.

Uprasza się posiadaczy takich fotografii o łaskawe wypożyczenie ich Admiralicji celem zrobienia odbitek dla celów służbowych. Proszę adresować: Officer in Charge, Admiralty Photograph Library, Admiralty, S.W.1.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.